№ 33. Warszawa, dnia 2 (14) Sierpnia 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Kobiety doktorami.

W jednej ze spokojnych ulic dzielnicy Bloomsbury w Londynie, wznosi się w pośród wielkich drzew i otoczony wysokiemi murami dom starożytnej powierzchowności, który dla myślącego przechodnia przedstawia coś więcej niż archeologiczne zajęcie.

Nie pociąga wzroku budową ani kolorytem, gdyż ten przybrał już ten oliwkowy odcień, będący wynikiem londyńskiego klimatu; styl gmachu jest, że tak powiemy angielsko-klasyczny, poważny i ciężki, mimo to patrzącemu na mały jego taras, portyk, werandę, ciągnącą się przez całą fasadę od strony ogrodu i wielkie otwierające się na nią balkonowe okna, przychodzą na myśl pożywne angielskie obiady, liczne poufne zebrania i wielkie piwnice zaopatrzone w dobre wina. Dom ten stojący jak zazwyczaj stare gmachy, ma swoją historyę a może miał dawniej i swoje rodzinne widmo; nie będziemy jednak badać dziejów jego i zmian jakie przechodził od czasu Jerzego II-go, gdy salony jego zapełniali wielcy panowie w perukach i haftowanych sukniach, zalecający się do pięknych wystrojonych pań, bo czasy te dawno już minęły. Jednak stary gmach nie stoi pustkami; przedstawia on dla obecnych pokoleń jedną z najciekawszych faz tegoczesnego postępu, ponieważ założono w nim medyczną szkołę dla kobiet. Stary dom mieszkalny zamienił się w świątynię Eskulapa. Historya założenia i rozwoju tej instytucyi, zajmująca sama przez się, żywsze jeszcze budzi zajęcie z powodu nowego planu lady Dufferin, aby utworzyć ciało medyczne złożone z samych kobiet, któreby praktykowały w Indyach, gdzie zasady religijne nie dozwalają kobietom wzywać porady doktorów mężczyzn.

Nie więcej nad lat dziesięć lub dwanaście, sama myśl aby kobiety uczyły się medycyny, oburzała uczciwych i poważnych ludzi. Jakże to niedawno temu, na ulicach Edymburga ścigano i znieważano kobiety, udające się na kursa medycyny? Dziś przesąd ten znikł prawie zupełnie, czy że najzapaleńsi przeciwnicy pomarli, czy że zastanowiwszy się głębiej pogodzili się z faktami dokonanemi, nie umiemy na to odpowiedzieć.

Dziś angielki mogą bez żadnych przeszkód uczyć się medycyny i chirurgii w założonej dla nich szkole w Londynie, w której wykładają znakomici profesorowie i corocznie znaczna ich liczba wychodzi z niej z wieńcami i dyplomami doktorskiemi.

Jeszcze w roku 1869 miss Jex Blake wniosła podanie do zwierzchności Uniwersytu w Edymburgu, z prośbą o upoważnienie dla siebie i czterech, swoich przyjaciołek, zapisania się na fakultet medyczny. Edymburg zdawał się tolerować te *studentki* dopokąd miano je za zapalone zwolenniczki, nie cofające się przed opłatą wpisowego, dla zadowolenia prostego kaprysu; ale gdy zdolności i gorliwość z jaką oddawały się nauce, okazały iż nietylko zamierzają uzyskać stopnie ale nawet są pewne, iż zdadzą egzamina, w usposobieniu ogólnem ciekawa zaszła zmiana: obojętność zamieniła się w nieukrywaną niechęć. Znaczna większość profesorów zaczęła zarzucać kobietom nielegalne uczęszczanie na kursa Uniwersytetu, i nareszcie, na ogólnem posiedzeniu, zapadła decyzya niedozwalająca im kończyć nauk. Trudno pojąć jak mogło się to stać w Anglii, gdzie nieustannie słuszność i sprawiedliwość odnosi zwycięztwo nad najściślejszemi przepisami. W Listopadzie 1869 r. wyższa zwierzchność Uniwersytetu pozwoliła kobietom uczęszczać na kursa medyczne, a więc tem samem i na zdawanie egzaminów i pozyskanie stopni naukowych. Na mocy tego zezwolenia miss Jex Blake i jej przyjaciołki, poniosły znaczne koszta i straciły wiele czasu, a senat akademicki będący zgromadzeniem profesorów podlegającem wyższej zarządzającej zwierzchności, nie chciał zastosować się do jej postanowienia, twierdząc, że nie miała prawa go wydać. Zwierzchność ta nie upomniała się o przysługujące jej prawa, zaprzeczone

przez profesorów i miss Jex Blake z towarzyszkami daremnie odwoływały się do wyższej instancyi, większością jednego głosu odrzucono aż nadto uzasadnioną ich skargę. W następstwie niesprawiedliwego tego wyroku, zniewolone były przenieść się do Londynu.

Tu potrafiły zyskać poparcie mistress Garret Anderson, cieszącej się uznaniem i praktyką wyższych sfer społecznych. Przekonawszy się, że istniejące instytucye nie nadają się dla kobiet pragnących kształcić się na doktorów, uznano, że najlepiej będzie wprowadzić w wykonanie pomysł Mrs Thorne, aby założyć dla kobiet specyalną szkołę medyczną. Jakoż miss Jex Blake i panie popierające jej dążenia, zdołały zjednać sobie poparcie i współczucie jedynego wówczas w Londynie człowieka, mogącego urzeczywistnić ich zamiary. Doktor Anstie, którego śmierć przedwczesna podczas spełniania swych obowiązków (w 1874 r.), pokryła żałobą naukowe i literackie koła londyńskie, uczuł żywo niesprawiedliwość jakiej stały się ofiarą w Edymburgu miss Jex Blake i jej towarzyszki. Był to człowiek nadzwyczaj zacny i szlachetny, pełen energii i zapału, ożywiony najszlachetniejszemi uczuciami. W charakterze jego było coś przypominającego dawnych rycerzy, co zjednało mu nazwę Bayarda swego zawodu; był nieubłaganym wrogiem wszystkich nadużywających swej władzy dla uciemiężenia słabszych. Jego przymioty towarzyskie, zdolności naukowe i literackie, głęboka znajomość i biegłość w swoim zawodzie, zjednały mu wielkie wpływy i stosunki, nader rzadko posiadane przez tak młodych ludzi. To też ilekroć wziął w swoją opiekę jakąś sprawę, większość kolegów szczerze mu w niej dopomagała. Sami nawet przeciwnicy oskarżający go o donkiszotyzm, nie śmieli występować z opozycyą. Od chwili gdy doktor Anstie przekonał się, że miss Blake i towarzyszki niegodnie są prześladowane, sprawa ich w połowie już w Londynie została wygraną.

Dnia 22 Sierpnia 1874 roku, zaprosił do siebie na prywatne posiedzenie najznakomitszych doktorów i uczonych, na którem zapadło postanowienie założenia specyalnej szkoły medycznej dla kobiet, i jednogłośnie zamianowano go jej dziekanem. Wyznaczono radę prowizoryczną złożoną z dwudziestu czterech najznakomitszych doktorów i z ich pomocą doktor Anstie zorganizował szkołę przy ulicy Henryety. Na nieszczęście zszedł z tego świata przed jej otwarciem. W jego miejsce został dziekanem d-r Norton i szkoła rozwijała się pomyślnie pod doskonałym jego kierunkiem aż do roku zeszłego, w którym z kolei została dziekanem Mrs Garret Anderson.

Pragnąc zapewnić szkole uznanie władz kompetentnych, że pobierane w niej nauki nadają uczenicom prawo przystępowania do egzaminów, doktor Anstie i koledzy jego nader rozumnie i przezornie dokonali wyboru profesorów, mianując takich tylko, którzy już pełnili te obowiązki w Instytucyach uznanych, aby gdy medyczna szkoła kobiet zażąda zatwierdzenia i uznania, nikt nie mógł sprzeciwić się temu pod pozorem nieodpowiednich profesorów.

Jak już wspomnieliśmy, dziekanem był doktor Norton, kasyerem sir James Stansfeld, członek Parlamentu. Sekretarzem, bez urzędowego tytułu, została miss Jex Blake, a gdy w roku 1877 opuściła szkołę i jako lekarz praktykujący osiadła w Edymburgu, posadę tę powierzono mistres Thorne, kobiecie obdarzonej niezrównanym taktem i prawdziwie dyplomatyczną zręcznością, a osobista jej popularność wielce się przyczyniła do pomyślnego rozwoju szkoły. Z wyjątkiem tylko *University College*, w owej epoce żadna ze szkół medycznych londyńskich nie mogła się poszczycić równie znakomitym doborem profesorów, pomimo więcej niż ograniczonych środków. Zwróciwszy na to uwagę, że szkoła medyczna przy Henryetta street założona została z sumą nie wiele przenoszącą 1,000 funt. szt. można mieć dowód czego dokonać mogą ludzie zdolni i dobrej woli, pomimo braku odpowiednich zasobów.

Najpierw postanowiono trzyletni kurs nauk, zgodnie z przepisami obowiązującemi przy zdawaniu egzaminów i w Maju 1875 roku, szkoła poddana została pod kontrolę komitetu zarządzającego i rady wykonawczej. Szkoła otwarta była w Październiku 1874 roku, uczenic było 23 i o mało nie upadła zaraz w początkach, gdyż nietylko odmówiono żądaniom, aby uczenice jej dopuszczono do jakiegoś większego uznanego szpitala, ale nadto komitet udzielający świadectwa, nie chciał uznać szkoły ani dozwolić jej uczenicom przystępować do egzaminów.

W kilku szpitalach chciano dopuścić studentki, ale oparł się temu główny sztab doktorów, a bez świadectwa praktyki w szpitalu obejmującego co najmniej 100 łóżek i to koniecznie tylko w granicach Wielkiej Brytanii, komitet nie chciał dopuszczać studentek do egzaminów.

Wszystkie te utrudnienia zniechęcały i odstraszały kobiety i gdyby nie energia i wytrwałość miss Jex Blake, szkoła musiałaby upaść. Dzięki jej staraniom zdołano uzyskać pozwolenie praktykowania w *Nowym Szpitalu*, a doktor Chambers dozwolił kobietom wstępu do sal powierzonych jego pieczy w zakładzie szpitalnym w Chelsco. Jednakże dopiero w 1877 roku, dzięki poparciu i zręczności pana Stansfeld, członka parlamentu i p. Hopgood znakomitego profesora *Royal Free Hospital de Gray's Inn Road*, stanął układ dopuszczający do sal tego zakładu, kobiety obierające sobie zawód lekarski.

Za warunek położono, aby szkoła za to ustępstwo, płaciła rocznie szpitalowi 315 fun. szt. a profesorowie po 400 fun. szt. przez pięć lat. Tak więc pp. Stansfeld i Hopgood ocalili szkołę od upadku, zapewniając nadto nieocenione korzyści uczenicom ze słuchania wykładu doktorów szpitala z których jeden, p. Gant, jest jednym z najsławniejszych tegoczesnych chirurgów. W takim stanie rzeczy, dopuszczenie do egzaminów, stało się już tylko kwestyą czasu.

W roku 1876, rząd poparł bill wniesiony przez pana Russell Gurney, nadający komitetom egzaminacyjnym prawo udzielania stopni i dyplomów kobietom i pomimo zaciętej opozycyi profesorów Uniwersytetu Edymburgskiego nalegających, aby Izba Gmin wniosek odrzuciła, bill został zamieniony w prawo. Królewskie kollegium medyczne w Irlandyi, zgodziło się na słuchanie egzaminów studentek medycyny; siedm z nich pozyskało dyplomy i zostały wpisane do ksiąg urzędowych.

(*Dokończenie nastąpi.*)

PRZEZ STEPY.

Noc już głęboka. Przejrzyste tumany
Wiszą nad ziemią. Jasnością zalany
Śpi step spokojny. Śpi, śród nocnej ciszy
Ucho człowieka dziwne dźwięki słyszy.
To głosy stepów, to wiatrów rozgwary,
To kurhan ścicha gwarzy sobie stary,
To wiater lekko drzew wierzchołki trąca,
I ciszę szumem zapełnia i zmąca.
Niebo wspaniałe gwiazdami połyska,
Tam Niedźwiedzica, tam Kassyopa błyska·
Migocą srebrne włosy Bereniki;
Skrzy Kastor, Poluks; tysiączne ogniki
Patrzą na ziemię. A ziemia tak cicha,
Spokojna, srebrna, słodko się uśmiecha.
I patrzy w górę na tych gwiazd tysiące,
Patrzy na niebo skrami złota skrzące,
Chwyta ich blaski, w łonie swem odbija
I w skrzącą gazę cała się owija.
Samotny kroczę... Jak oko dosięga,
Przez pola droga wije się jak wstęga.
Dźwięczne me kroki budzą ucho śpiące,
Brzmią ich odgłosem równiny drzemiące.
Co tam? To dzwonek dzwięcznie się odzywa,
Wóz czeka. Siadam. Trójka w skok się zrywa,
Mkną szybko konie... A srebrne obszary:
Pola i łąki, stawy i moczary,
Dźwięczą echami.

Trójka wciąż pomyka,
Nigdzie wsi, chaty, złotego płomyka,
Księżyc przyświeca. Przejrzyste tumany
Wiszą nad ziemią. Jasnością zalany
Śpi step spokojny. Śpi, śród nocnej ciszy,
Ucho człowieka dziwne dźwięki słyszy.
To głosy stepów, to wiatrów rozgwary,
To kurhan ścicha gwarzy sobie stary,
To wiater lekko drzew wierzchołki trąca,
I ciszę szumem zapełnia i zmąca.
I ciężko sercu... a droga nie blizka.
Żeby choć dotrzeć do swego ogniska.

Bolesław Markor.

BRATKI.

NOWELLA

PRZEZ

HELENĘ.

(Dalszy ciąg.)

Na parę tygodni przed naznaczonym dniem ślubu, panie z Tęczowej otrzymały zaproszenie na bal w sąsiedztwie. O kilka mil mieszkali dalecy krewni hrabiny, którzy chcieli uczcić parę narzeczonych wielką tańcującą zabawą, sami przyjeżdżali prosić o to jak najusilniej i naturalnie hrabina podziękowawszy, obiecała przybyć na pewno z córkami i Jerzym. Miał to być pierwszy i osta-

tni bal, na którym Wilunia miała się znajdować jako narzeczona; Herminia mało udzielała się światu i balów nie lubiła, ale namawiana przez wszystkich, w końcu się zgodziła uczestniczyć w projektowanej zabawie. Wilunia zaraz siadła pisać do magazynu do Warszawy o przysłanie tualet balowych. W różowym buduarze około 8 wieczór toczyła się żywa narada między nią, a hrabiną co do koloru sukien i kwiatów; drzwi wychodzące na ogród były otwarte, płynęła przez nie delikatna woń kwiatów jesiennych i ciche szmery wieczoru. Na terasie, na kamiennej ławce siedziała Herminia i układała bukiety do kościoła. Obok niej leżał duży kosz kwiatów ogrodowych, a opodal oparty o wazon alabastrowy, wpatrzony w nią stał Jerzy. Dawno oczekiwał chwili, w której by mógł sam na sam z nią pomówić, bo im więcej ciężyły mu kajdany narzeczonego, im bliższy był dzień stanowczy w jego życiu, tem goręcej pragnął powiedzieć jej jak cierpi przez nią, jak bardzo ją kocha, jak jest nieszczęśliwy. Chciał jej pomagać w wiciu bukietów, ale ona oświadczyła, że sama to uczyni, chciał przy podawaniu pięknej hortensyi przytrzymać w swej dłoni jej różowe paluszki, ale ona szybko cofnęła rękę i surowo nań popatrzyła.

— Powiedz mi, panno Herminio — rzekł Jerzy — dlaczego pani taka dobra, pełna tkliwości i serca dla wszystkich, dla mnie jesteś tak obojętna i nieprzystępna?

— Dziwne pytanie—odpowiedziała Herminia— zadajesz mi pan w tej chwili; nie wiem zkąd pan masz dowody dobroci mojej, ani na czem gruntujesz przekonanie, że za ozięble postępuję z narzeczonym mojej siostry.

— Oh! dowodów serca pani mam na każdym kroku, w całem jej życiu, w każdej czynności, a co do mnie przypuszczam, że muszę być dla pani bardzo antypatycznym, skoro nawet ze względu na stosunek mój do p. Wilhelminy, ani na krok nie pozwalasz mi pani wyjść po za granicę zupełnej obojętności i zbliżyć się do siebie; czyżbyś pani niechęć do mnie czuła?

Herminia uśmiechnęła się:

— Doprawdy, panie Jerzy, nie wiem zkąd ci tak oryginalne myśli przyszły dziś do głowy?

— Bo panią uwielbiam! — zawołał gwałtownie młodzieniec — bo panią szanuję, bo wszystkie twe szlachetne dążenia wzbudziły we mnie wielką dla pani... sympatyą. Rozum, wzniosła dusza, wykształcenie, talenta pani mnie zachwycają, nic więc dziwnego, że chciałbym wiedzieć, czy w sercu pani nie ma dla mnie chociażby trochę życzliwości?

Herminia podniosła na niego wzrok zadziwiony, ogień z jakim Jerzy do niej przemawiał zdumiewał ją, nic nie rozumiała, co to wszystko ma znaczyć.

— Chociaż zupełnie niezasłużenie wyjawiasz mi pan dla mnie sympatyą, wierz mi, panie Jerzy, że serdecznie panu jestem za to wdzięczną — rzekła zwolna — a Wilunię tak gorąco kocham, iż do jej narzeczonego nigdy niechęci mieć bym nie mogła. Przeciwnie w zupełności masz pan moją życzliwość, a gdy już tak wkrótce zostaniesz jej mężem i uczynisz ją szczęśliwą, będziesz pan miał we mnie przywiązaną siostrę i przyjaciołkę.

Jerzy żywo ujął ją za rękę:

— Ah! przyjaźń, przyjaźń, to tak mało, p. Herminio!

— Przyjaźń, mało? Czyż możesz pragnąć więcej, p. Jerzy — zapytała zdumiona Herminia — przyjaźń to najpiękniejsze uczucie na ziemi, to złote ogniwo splatające dwie dusze jednością myśli, cudną harmonią przekonań, przyjaźń to synonim braterstwa, a czyż może być coś wznioślejszego jak miłość bratnia, ta silna miłość, w imię której żyć i działać jest największem szczęściem, na ołtarzu której składa się kwiaty poświęcenia i zaparcia się siebie, która jest odblaskiem Bozkiej dla ludzi miłości. Bratki są tego uczucia wyobrażeniem, dlatego ulubione to są moje kwiaty, a kto za hasło weźmie ideę braterstwa, ten zacnych czynów sztandary zatknie na szczytach wiary i zasługi. O! panie Jerzy, tylko wielką dla mojej siostry miłością, wielkiem jej oddaniem się zyszczesz sobie moją przyjaźń i wtedy będziesz miał prawo żądać ode mnie tego uczucia, na jakie tylko prawdziwie siostrzane przywiązanie zdobyć się może.

To mówiąc, powstała i chciała odejść, ale Jerzy zaszedł jej drogę:

— Zostań pani jeszcze chwileczkę — rzekł namiętnie — twoja przyjaźń będzie dla mnie wielkim zaszczytem, ale, ale pani mnie nie zrozumiałaś, nie wiesz co czuję w tej chwili i może tego nigdy nie pojmiesz? Słowo jedno tylko p. Herminio, czy pani kiedy kochałaś? Dziwną jesteś pani kobietą i o ile panią poznałem, zdaje mi się, żeś nigdy nie kochała.

— Nie kochałam! — powtórzyła smutnie Herminia — ależ ja kocham, całą siłą serca mego, wszystkiemi potęgami mego ducha. I czemże byłoby to życie dla mnie, gdyby mnie doń nie wiązała głęboka do matki mej miłość i czułe przywiązanie do siostry, gdybym jednem wielkiem uczuciem nie obejmowała wszystkich obowiązków moich, nie kochała pracy, nie kochała ludzkości. Świat bo dziwnie zapatruje się na miłość, ale według mnie, kochać, to myśl Bożą wprowadzać w czyn, to na skrzydłach poświęcenia wznosić się w niebieskie sfery zasługi i cnoty, to działać w imię prawdy i dobra; kochać to żyć dla drugich, pracować użytecznie, siać ziarna wszystkiego co piękne i święte, kochać, to łzy ludzkie z miłością ocierać, to rany serca chłodzić i leczyć, to walczyć i zwyciężać dla wielkiej społecznej idei. Kochać, to piersią swą ogrzać zmrożonych szronem życia, to w dusze zbolałe i zawiedzione lać strumień nadziei, to upadających dźwigać i krzepić. Ah! kochać, to cierpieć w milczeniu; kochać, to kosztem swego ja budować gmach szczęścia innych, kochać to wiele czynić i wiele przebaczać.

Jerzy stał w osłupieniu, ah! czyż on kochał tak, aby mieć odwagę w tej chwili wypowiedzieć swą miłość tej kobiecie, która stała przed nim w pełnym blasku światła księżycowego, opromieniona wielkością wyższego piękna, głosząca tak cudne zasady miłości.

On, który pod względem tego uczucia czuł się tak zmiennym i winnym, on który kilka miesięcy temu w piękny wieczór letni przysięgał ją Wiluni na wieki, czyż mógł mieć czoło wyrzec do niej to wielkie słowo: kocham! Nie, więc stał ze spuszczoną głową i pojął, że nie jest godzien sięgnąć po taki skarb, jakim jest czyste, święte serce kobiece.

— O kochać, panie Jerzy — mówiła jeszcze Herminia — to świat swój cały widzieć w ukochanych, to promieniami swego ducha oświetlać ich drogę i kto tak kocha, ten kocha prawdziwie i wiecznie. Wierzę, że jesteś szlachetnym człowiekiem, że taką miłością kochasz siostrę moją, a ja choć nie kochałam nigdy i nigdy za mąż nie pójdę, niemniej za cel mego życia wzięłam sobie wypełnianie obowiązków wyższej idealnej miłości.

To mówiąc, opuściła terasę, a Jerzy ciągle jeszcze stał wsparty o alabastrowy wazon i nie słyszał jak jasnowłose dziewczę, piękne, jak niebiańskie zjawisko zbliżyło się do niego i położyło rączkę aksamitną na jego ramieniu i wyrzekło:

— Jerzy, czegoś ty smutny i zamyślony? Wszak to już wkrótce nadchodzi upragniony dzień naszego ślubu? czyś o tem zapomniał?

— Nie, nie zapomniałem — wyszeptał Jerzy, jakby budząc się z zamyślenia i jeszcze ciszej dodał z westchnieniem: — o ja nieszczęśliwy!

Wilunia posłyszała ten jęk jego duszy, te wyrazy, które nieoględnie wyrwały się z ust jego i wielkie łzy zamigotały w jej oczach. Nie śmiała o nic więcej pytać, nie była nawet pewną czy dobrze dosłyszała, czy to nie jakie złudzenie. Uczuła tylko, że jakiś straszny kamień smutku i trwogi spadł na jej serce, a nad jej głową zawrzała burza niepokojów i walki.

* * *

Nic się na pozór nie zmieniło w Tęczowej a jednak jakże ważne przemiany nastąpiły w sercach i życiu jej mieszkańców. Ta młoda, szczęśliwa para narzeczonych, niedawno jeszcze kochająca się tak czule, teraz robiła na wszystkich smutne wrażenie.

Jerzy nie spędzał z czoła chmur posępnych, był milczący i widocznie czemś głęboko znękany; straszna walka miłości z honorem i sumieniem rozrywała mu pierś, a on musiał udawać wesołego i wymuszonym uśmiechem ukrywać rozpacz. Wilunia od chwili usłyszanego jęku powoli zaczęła go śledzić i z niepokojem ujrzała, wyraz cierpienia na twarzy ukochanego.

Oczy jej zaczęły się otwierać, tak on cierpiał, ale dlaczego? z jakiego powodu? Wszakże dawniej był inny, swobodny, promieniejący, czuły, a teraz, to prawie jej unikał, to znowu z gorączkowym pośpiechem nadskakiwał: dawniej tyle razy na dzień ściskał jej rączki, tak często szeptał wyrazy miłości, teraz nigdy nie mówi, że ją kocha, a gdy jej dłoń ujmuje, ona wyraźnie czuje, że jego ręka zimna. Czyżby przestał ją kochać? Ah! nie, nie! dziewczę szybko tę myśl od siebie oddalało, bo mu się to zdało niepodobieństwem.

Parę miesięcy temu w parku Franzensbadzkim z takim ogniem przysięgał ją kochać na wieki... on piękny, on szlachetny nie wyrzekłby do niej tych wyrazów, gdyby nie był pewien, że ona jest jego pierwszą i ostatnią miłością na całe życie... W taki sposób uspakajała siebie, ale mimo tego obojętność i smutek Jerzego były powodem, że zbladła i widocznie ciągle popadała w bolesne zamyślenie. Hrabina zajęta wyprawą i przyszłym balem nie widziała tego, a Herminia, spokojna, oddana pracy, tak rzadko była z nimi, a tak liczyła na stałość i szlachetność Jerzego, iż przypuszczać nawet nie mogła żadnej zmiany.

Jednego wieczora Jerzy smutny, zbolały przechadzając się samotnie po alejach parku, około okien pokoju Herminii, mimowoli się zatrzymał. Firanki nie były spuszczone, widział więc doskonale, co się wewnątrz działo. Herminia sama siedziała przy biurku i pisała, obok niej leżały pisma: „Kłosy" i „Przyjaciel Dzieci", wiedział Jerzy, że w wolnych chwilach gorliwie oddawała się pracy literackiej, sam bowiem czytał kilka poważnych jej artykułów w kwestyi kobiecej i ludowej. Najlepiej lubiła pisywać dla młodzieży, jedno jeszcze piękne powołanie, którego ważnością się przejęła i z praw-

dziwem zamiłowaniem stawiała młodemu pokoleniu wzory cnoty i poświęcenia w formie pisma, jak to żywem słowem czyniła w obec zgromadzonej dziatwy wiejskiej. Z uśmiechem zadowolenia Herminia skończyła swoją pracę, poczem sięgnęła z lekka po jedną z zamkniętych ramek, które stały na biurku i otworzyła je. Jerzy wytężył wzrok i ujrzał dużą, kolorowaną fotografią mężczyzny z pięknemi czarnemi oczami i kruczym włosem. Herminia postawiła ją przed sobą i długo długo się w nią wpatrywała. W Jerzym zbudziła się wielka ciekawość, nie wiem czegoby nie oddał żeby wiedzieć w tej chwili, kto był ten, w którego rysy ukochana przez niego kobieta, patrzy z takim wyrazem rozczulenia i miłości? Dalej zobaczył, że duża, biała, jak perła łza spadła z czarnych jej rzęs na rękę.

Ta zawsze dumna, poważna i nieugięta Herminia płakała, tak, płakała, on to widział, pierś jej podnosiła się westchnieniem, usta drżały. Chcąc zapanować nad swojem wzruszeniem, odsunęła trochę fotografią na bok, światło lampy padło na twarz mężczyzny i Jerzy został zdziwiony jego wielkiem podobieństwem do Herminii.

— Jej ojciec — szepnął do siebie, odstąpił od okna i wolnym krokiem podążył do swoich pokoi.

Czekał tam na niego Jacek, którego ujrzawszy Jerzy, postanowił zapytać o szczegóły tyczące się hrabiego Horskiego. Zagadnięty stary sługa, długo się wahał z odpowiedzią w końcu rzekł:

— O smutna to historya, pan nie wiesz zapewne, że pp. Horscy się rozwiedli. Hrabia był bardzo młodym, kiedy się zakochał w ślicznej kobiecie, która jednak nie mogła zostać jego żoną; rodzice chcąc przerwać ten stosunek, starali się zwrócić jego serce ku godniejszej tego osobie i skłonili do ożenienia się z p. Wandą Łęcką, naszą hrabiną, która go nadewszystko pokochała. Parę lat dość spokojnie z sobą żyli, ale zdarzyło się, że hrabia spotkał za granicą dawną swoją ukochaną i tłumiona długo miłość wybuchła w jego sercu z całą siłą gwałtownej namiętności. Szalonego charakteru był to człowiek, nie widząc dla siebie ratunku w strasznej rozpaczy, chciał sobie życie odebrać, na szczęście zapobiegła temu żona. Choć go silnie kochała, choć życie swoje gotowa była oddać, byle się z nim nie rozdzielać, choć przypłaciła to zdrowiem, gdyż miesiąc leżała między śmiercią a życiem, jednak widząc szaloną jego miłość zgodziła się na rozwód. Ah, panie! ja patrzyłem na łzy tej kobiety, na walki jej, na pracę, widziałem jak tęsknotę za mężem osładzała sobie myślą o córkach, jak o własnych ranach zapominała, kojąc bóle innych zawiedzionych i nieszczęśliwych! Jaką moc ducha mieć potrzeba, aby z rezygnacyą chrześciańską pokonać uczucie zawodu i zwichnięte swe szczęście złożyć na ołtarzu obowiązku i zaparcia się siebie! Życie hrabiny — mówił dalej Jacek — to był jeden ciąg dobrych uczynków, uśmiechy dziękczynienia rozjaśniały jej horyzont, a córki były jedyne na nim gwiazdy. Smutne to dzieje rozbitego serca, które u progu życia zdruzgotało się o skały gorzkich cierpień rozczarowań.

Poczciwy stary sługa ze wzruszeniem ocierał łzy, mówiąc o swej pani.

— Cóż się stało z hrabią? — zapytał Jerzy.

— Hrabia życie swe spędził na uganianiu się za kobietą próżną, lekkomyślną, która widząc majątek jego wyczerpanym, w końcu zdradziła i haniebnie porzuciła steranego tułacza bez mienia, rodziny i honoru. Kilka lat temu hrabia zmarł w Meran na rękach p. Herminii, która posłyszawszy o jego smutnym losie, niepomna, że ją porzucił w dzieciństwie, u nóg matki wyprosiła, iż pozwolono jej spełnić to, co nazwała świętym obowiązkiem córki. Jeździłem z nią, panie, widziałem jak czułą go otoczyła opieką; hrabia umierając wyrzekł: Będziesz szczęśliwa, bo umiałaś być wszystkiem dla biednego rozbitka! Oby nią była droga panienka moja!

— A panna Wilhelmina czy wie o tem?

— Zapewne wie, bo ją siostra nauczyła kochać tego nieszczęsnego ojca, przebaczyć mu z serca.

Długo po tej rozmowie Jerzy nie mógł usnąć. Czyż by przeznaczeniem tej rodziny było nieszczęście w miłości? Czyż i ja? — myślał — na swojem sumieniu będę miał zwichnięte życie młodej kobiety, której przysięgać będę kochając inną? Czyż i ja u kresu żywota stanę złamany, a ciężki wyrzut zakłóci spokój mej duszy?

(Dokończenie nastąpi.)

TEATR.

Sodoma i Gomora, komedya z niemieckiego tłomaczona, odegrana w Teatrze nowym.

Autor za nadto podniósł utwór swój nazywając go komedyą, jest to bowiem najprostszego gatunku farsa, w której motanina różnych wypadków i wypadeczków stanowi główną treść, okraszoną komizmem dość podejrzanej lekkości.

Trzech przyjaciół Ryszard, Paweł i Müller, rozchodząc się w różne świata strony, postanawiają za lat dziesięć zejść się w lesie w Rejchenhalu i pohulać za pieniądze zebrane przez ten czas ze składek własnych przysyłanych na ręce jednego z nich.

Ryszard został malarzem, Paweł poetą, Müller ożenił się z Gustą, która obdarzyła go nietylko ładnym posagiem ale i nazwiskiem firmy oberży wielce szanowanej w Rejchenhalu. Pani Gusta jest przytem niezmiernie zazdrosna, a małżonek jej Müller troszkę na bałamuta zakrawa.

O terminie zjazdu przyjaciół dowiaduje się Elza siostra Ryszarda malarza i wesoła wdówka Ludmiła jej przyjaciołka. Elza z romansową główką pragnie poznać Pawła, którego poezye uwielbia, namawia więc Ludmiłę, aby razem pojechały do Rejchenhalu i przedstawiły się Müllerowi jako żony Ryszarda i Pawła, którzy dla chwilowej słabości musieli pozostać w domu i przysłali żony w zastępstwie swojem.

Ale Ryszard z Pawłem nie zapomnieli o terminie postanowionego zejścia; jak więc tylko przybyli na miejsce, podstęp ciekawych kobietek wydał się, które ratując się kłamią najdziwaczniejsze awantury, a przypadkowo poznany turysta dopomaga im, przedstawiając się za jednego z trzech towarzyszów. Z tych kłamstw okraszonych podejrzliwą zazdrością oberżystki pani Gusty, widzącą wszędzie miłosną intrygę męża, powstają przeróżnego rodzaju awantury i awanturki, niemające wprawdzie nic w sobie skandalicznego, ale z pozoru wielce na grzechy Sodomy i Gomory zakrawające. Opisywać ich szczegółowo niepodobna: jest tam wiele rzeczy trywialnych, nieprawdopodobnych, naciąganych, ale koniec końców gusta są różne i gdy jedna część publiczności bije oklaski i śmieje się, bawiąc przewybornie, druga ziewa, gniewa się i nudzi przeraźliwie.

Gra artystów bez wyjątku wszystkich, była bez zarzutu. Gdzie nie ma myśli wyższej i natchnienia, gdzie wszystko i dowcip i humor, wykute jakby młotem z kamienia, tam i sposobności do odznaczenia się brak zupełny.

WSPOMNIENIA.

JAN LAM.

W dniu 2 Sierpnia, umarł we Lwowie znany powszechnie Jan Lam, humorysta i satyryk własnej społeczności.

Urodzony w roku 1838 w Stanisławowie w Galicyi, był synem czystej krwi Niemca Hessenczyka i matki Polki z domu Ziołeckiej i ona to, jak matka Libelta, wypiastowała nam przy sercu jednego z najznakomitszych pisarzy.

Nauki szkolne zmarły ukończył w Buczaczu a choć do lat dziewięciu życia swego nie uczył się innego języka jak tylko niemieckiego, później nauczył się dobrze po francuzku, włosku, angielsku, a nawet po hiszpańsku i rossyjsku. Na uniwersytecie z woli ojca przez trzy lata słuchał we Lwowie nauki prawa, ale nagle powołany do wojska, odbył jako prosty żołnierz kampanią przeciw Francyi i Włochom w roku 1859.

Powróciwszy z wojaczki, przez jakiś czas oddawał się guwernerce, podczas której napisał rapsod historyczny p. t. „Zawichost”, drukowany we Lwowie na dochód stowarzyszenia wzajemnej pomocy techników. Osiedliwszy się tam wreszcie, wydawał kilka pism humorystycznych, pracował przy Dzienniku polskim, później przy Gazecie narodowej i Dzienniku literackim, w którym umieścił wyborną humoreskę p. t. Pan komisarz wojenny.

Poślubiwszy w roku 1865 pannę Maryą Jasińską, pomieścił się stale w Gazecie narodowej i rozpocząwszy w niej od roku 1868 umieszczać tygodniowe kroniki, prowadził je bez przerwy przez lat 17 i umieścił w owym czasie dwie powiastki p. t. Panna Emilia i Koroniarz w Galicyi. Gdy Gazeta narodowa przybrała barwę polityczną, która nie zgadzała się z jego przekonaniem, przyjął naczelne redaktorstwo Dziennika polskiego, przy którym położył zasługi niespożytej wartości. On to zwrócił Galicyą od bezpłodnej szermierki politycznej na drogę pożytecznej pracy ekonomicznej: on to wykrył nadużycia na drogach kolei żelaznej, które wywołały głośny w owym czasie proces generalnego dyrektora kolei czerniewickiej Oppenhejma.

Do końca życia Dziennika polskiego już nie porzucając, z wyrzeczeniem się jedynie części politycznej, wspierał pismo Tydzień, wydawane przez Bartoszewicza i umieścił w nim powieści p. t. Idealiści i Dziwne karyery. Pisywał także w ostatnich czasach i do naszych Dzienników.

W pismach swych ś. p. Jan Lam odznaczał się szczególną niechęcią do Niemców i Czechów, ale jedynie tych, co zniemczywszy się zatracili niemal pamięć, że z rodu są Czechami. Natomiast bronił Żydów, choć tak nieprzyjaznych Galicyi i gwałtem wyróżniających się od wszystkich.

Zmarły jako człowiek odznaczał się niczem nieskalaną uczciwością. Mając w ręku wpływowy dziennik w czasie powstawania wielkich finansowych operacyi, nierzadko zdarzała mu się sposobność do nieprawych a niemałych zysków za samo milczenie w interesach wątpliwej wartości, a jednak do końca życia nigdy nie uległ pokusie, chociaż żyjąc prawie z dnia na dzień z brakiem często się spotykał. Miłując rodzinną ziemię, najświetniejsze zarobki przedstawione mu przez wiedeńskie dzienniki, odrzucał zawsze bez wahania, woląc być polskim choć ubogim dziennikarzem, niżeli sługą tych, których nienawidził.

Tak jak w życiu publicznem, tak i prywatnem był najlepszym przyjacielem i towarzyszem i nigdy nie szczędził nikomu rady i pomocy. Jeżeli zaś komu rzuceniem prawdy w oczy dokuczył to przynajmniej nikogo nie spotwarzył, nie wsunął się do niczyjego prywatnego życia, aby go później publicznie ośmieszyć. To też pogniewanych na siebie chwilowo miał wielu, ale ani jednego osobistego nieprzyjaciela.

Wiadomość o śmierci ś. p. Jana Lama, z powszechnym przyjęta została smutkiem, każdy bowiem w duszy swej przyznał, że kraj traci z nim jednego z najzdolniejszych pisarzy, niezmordowanego obrońcy prawdy, postępowego szermierza pióra i prawego obywatela kraju.

Pogadanka o tem i owem.

Autor Pogadanek w Kuryerze Codziennym, zawsze zajmujących i pisanych rozumnie i poczciwie, w jednej z nich rzucił kwestyą, jak się u nas zostaje literatem? Podnosząc tytuł ten do znaczenia, jakie właściwie mu przynależy, powiada, że adwokata ani doktora nikt w kamienicy palcem nie pokazuje, literatowi zaś ten *hołd* zawsze prawie bywa składany.

Wyraz *hołd*, Pogadankarz zaopatrzył aż trzema wykrzyknikami, co ma znaczyć, że ten wyraz *hołd*, nie był użyty we właściwem znaczeniu, ale coś niby... troszkę jakby przez szyderstwo.

Przypuszczenie to ma wiele prawdopodobieństwa. Pogadankarz Kuryera widać dobrze rozpatrzył się w świecie i podsłuchał jego szmery i szepty, skoro wyraz tak pochlebny osłabił w jego znaczeniu.

Dawniej literatów nie było choć kwitła bardzo literatura i było dosyć pracowników w jej dziedzinie, dziś literatura cokolwiek szwankuje, szczególniej w poezyi, a jednak zowiących się literatami mnóstwo.

Dawniej pracy w arenie literackiej, poświęcano się wyłącznie przez zamiłowanie obranego przedmiotu, nie szukano z niej korzyści tylko zadosyć czyniono wrodzonemu popędowi, i z natury danemu usposobieniu.

Dziś o talent i usposobienie nikt się nie troszczy i zostaje literatem jak dawniej kupcem, prawnikiem, doktorem, przemysłowcem, wyłącznie dla chleba, dla zarobku, wreszcie dla tytułu nadającemu niby pewną godność posiadaczowi. Być bowiem literatem nie znaczy to być niczem, gdy w rzeczywistości jest się nim, a raczej tylko... wyścigowcem za zarobkiem, bezwzględnym na środki, druzgoczącym wszystko co mu tamę stawia, rzeczywistą plagą dla prawdziwie utalentowanych literatów, którzy jako mniejsi liczbą w ciżbie uzurpowanych, nieraz w rozwoju swej pożytecznej działalności niepokonanych doznają trudności. Nie przeczę, że w dziennikarstwie dziś tak rozwiniętem i tego rodzaju pracownicy pióra są potrzebni, ale niechże się nie zowią literatami, tylko pismakami, ciurami literackiemi, plotkarzami a nawet... łgarzami dziennikarskiemi tak jak im przynależy.

Słowa to ostre, szczypiące i kolące winowajców ale zasłużone. Opinia jaką sobie zdobyła nazwa literata, usprawiedliwia je zupełnie. Nie ma nic tak brzydkiego czego by do niej nie przyczepiono, bo też nie ma i nic trudniejszego jak zarobek dla tego rodzaju literackiej osobistości, chcącej żyć z literatury a mającej mało danych do tego. Żeby go więc zdobyć czegóż się głodny nie chwyci? Chwytają się też wszystkiego a świat patrzy na te harce, usuwa się jak od zapowietrzonych i obrzuca wyrażeniami jakich się w przyzwoitem towarzystwie tylko z konieczności używa.

Gdyby w młodzieży dziś z patentami w świat wychodzącej, lepsze było pojęcie godności pracy i rozumniejsze pojmowanie własnego interesu, z pewnością mniej mielibyśmy literatów, a więcej kupców, przemysłowców i rzemieślników, na których brak ciągle narzekamy, łając żydów i cudzoziemców, że nam z przed nosa chleb zabierają. Ale chcąc zostać jednym z nich, trzeba zacząć od najprostszych zajęć, stopniowo iść od dołu aż do góry, przy trudzie pracy, ocierając czoło potem okryte pocieszać się spodziewanemi w przyszłości korzyściami, radować ich osiągnięciem choćby najskromniejszem, a krzepić nadzieją coraz ich pomyślniejszego rozwoju. Aby idąc taką drogą dojść wreszcie do poważnego stanowiska obywatela kraju i żyć bez troski choć skromnie ale wygodnie i dostatnio, potrzeba naturalnie i czasu i trudu niemało, co wielom bardzo się niepodoba. Literatem zaś zostaje się odrazu, komponuje się pierwszą lepszą plotkę, aby choć trochę prawdopodobną, klnie się w redakcyi pisma od nowinek, że jest prawdziwą, ot i stanowisko zdobyte i zarobek to samo choć lichy i często niewystarczający na utrzymanie. Jedno też z pism humorystycznych radzi, aby *re-porter* nazywał się *re-piwo*, bo na porter już go dziś nie starczy, ledwo na podpiwek a jeśli pójdzie tak dalej to niedługo najczystszą wodą będzie się musiał zadawalniać.

GŁÓWNIEJSZE OKAZY ROŚLINNEGO ŚWIATA.

Drzewo mleczne.

Po odkryciu Ameryki nie zabrakło miłośników nowości, usiłujących poznać i opisać tyle ciekawą część świata, gdzie wedle ówczesnego wyrażenia, ludzie chodzili do góry nogami, nie ginąc w przestrzeni i nie doznając najmniejszego zawrotu. Już ta jedna okoliczność usposabiała Europejczyków do wiary w nadprzyrodzone objawy, z czego korzystając podróżni opisywali ludzi z psiemi głowami, drzewa mówiące po hiszpańsku i skały wznoszące każdego poranku hymny na cześć Stwórcy wszech rzeczy. Obok jednak urojonych, dostrzegamy i prawdziwe obrazy w robionych wzmiankach o drzewach wydających napoje i żywność, o innych posługujących do ubrania, lub też zdradzieckich, zdolnych jedną kropelką swego soku pozbawić życia człowieka.

Mimo nadzwyczajności tych zjawisk przyrody, zapomniano o nich wkrótce, co między innemi stosuje się również do drzewa wydającego mleko, które ściśle wziąwszy dla naukowego świata odkrył dopiero Humboldt i towarzyszący mu Bonpland 1800 roku, w czasie ich podróży po Ameryce.

Mlecznemu drzewu nadają krajowcy miano *palo de vaća* co dosłownie przetłomaczyć można *drzewo krowie* lub *drzewo krowa.* Opisał je kiedyś dawny pisarz Lact w dziele swem, mówiąc:

„W prowincyi Cumana są drzewa wydające aromatyczną żywicę, inne znów sok podobny do zsiadłego mleka i służący za nader smaczne pożywienie.

Wzmianka ta choć nader niedostateczna była jednak jedyna, aż do chwili w której Humboldt dał dokładniejszy opis tyle zadziwiającego tworu przyrody.

„Wracając z Porto-Cabello, pisze ten uczony zatrzymaliśmy się powtórnie w osadzie Barbula. Przed kilku tygodniami mówiono nam o drzewie, którego sok podobny był zupełnie do mleka i służył mieszkańcom za pożywienie. Nazywano go *palo de vaca*; smak jego ma być bardzo przyjemny, co nas zadziwiło, bo zazwyczaj soki drzew są cierpkie, gorzkie i szkodliwe dla zdrowia. Opis ten jednak był zupełnie prawdziwy, stwierdziliśmy to własnem doświadczeniem, szczególne własności mlecznego drzewa nie ulegały żadnej wątpliwości. Po przecięciu kory, okrywającej pień tego drzewa, dostrzegamy mleko lepkie, dosyć gęste, pozbawione cierpkości a posiadające balsamiczny nader przyjemny zapach.

Płyn ten podano nam w tykwach i wypiliśmy znaczną jego ilość przed pójściem na spoczynek, również po obudzeniu się rano, na pierwsze śniadanie, bez żadnego uszczerbku dla naszego zdrowia. Jedynie tylko wzmiankowana lepkość stanowi jego stronę ujemną. Murzyni równie jak i biali używają go za napój i pokarm, jedząc z ciastem kukurydzy lub manioku. Wedle zapewnienia miejscowego rządzcy, robotnicy nabierają ciała w porze roku w której *palo de vaca* wydaje większą ilość mleka.

Wśród różnych zjawisk, pisze dalej ten uczony, drzewo mleczne uczyniło na mej wyobraźni silniejsze od innych wrażenie. Byt rodu ludzkiego na kuli ziemskiej byłby niepodobny bez mąki i mleka, pierwsza jest podstawą w utrzymaniu osób starszych, bez drugiego niemowlęta nie dałyby się wychować.

Mąka znajduje się nietylko w zbożu, ale i w korzeniach roślin, jak kartofle, ignamy, manioki i t. d. nadto w pniach niektórych palm indyjskich i amerykańskich. Mleko jednak nauczyliśmy się uważać jako wyłączny produkt zwierzęcego świata, jakże więc zdziwiliśmy się przekonawszy się, że płyn ten jest wydawany również przez niektóre przynajmniej rośliny.

Na skalistym gruncie rośnie drzewo mające zeschnięte liście, podobne do skóry, grube jego korzenie są w znacznej części widoczne, gdyż pokrywa je nader cienka warstwa ziemi. Przez znaczną część roku, panuje tam zupełna susza, konary zaś wzmiankowanego drzewa są jakby uschłe, bez życia. Oznaki jednak przedwczesnego zgonu są tylko pozorne; skoro tylko zrobimy nacięcie w jego pniu, natychmiast dostrzeżemy ukazujący się słodki i bardzo pożywny płyn podobny do mleka.

Podczas wschodu słońca zebrać można największą jego ilość; w tej właśnie porze dnia dostrzegamy zarówno białych jak i czarnych mieszkańców, idących z glinianemi naczyniami po mleko, które żółcieje i gęstnie pod wpływem powietrza. Niektórzy z przybyłych jedzą śniadanie zaraz na miejscu, inni niosą posiłek dzieciom i pomimo woli patrzymy na drzewo jak na jakąś dobroczynną wróżkę, obsypującą wybrańców swemi darami."

(*Dokończenie nastąpi.*)

ROZMAITOŚCI.

Dzień letni w Watykanie.

Przez lipiec, sierpień i wrzesień r. b., Ojciec święty odpoczywa; przyjęć w Watykanie nie ma.

Jakkolwiek Papież cieszy się wybornem zdrowiem, podlega niemniej dolegliwościom nieuniknionym w późnym Jego wieku. Leon XIII ma lat 78, które dźwiga zresztą bardzo raźnie.

Każdy dzień letni rozpoczyna się tak monotonnie jak jego poprzednik. O szóstej rano Papież odprawia Mszę św. w swej prywatnej kaplicy; o siódmej śniadanie, składające się z czekolady na mleku i niekiedy dwóch jaj. Zaraz potem następuje przyjęcie urzędników dworu papiezkiego. Kardynał Jacobini, po zdaniu sprawy Jego Świątobliwości z rozmaitych spraw będących na porządku dziennym, przedstawia w streszczeniu listy otrzymane od nuncyuszów i delegatów apostolskich przez sekretaryat stanu.

Najulubieńszem zajęciem Leona XIII jest słuchanie odczytywania niezliczonych listów, nadchodzących ze wszystkich części świata. Często są to księża, misyonarze, zakonnicy, zdający sprawę z dopełniania otrzymanych zleceń; czasami wierni składający ofiarę Świętopietrza; nieszczęśliwi błagający o błogosławieństwo które im szczęście przyniesie. Ale największa liczba jest proszących o pomoc. Niepodobieństwem byłoby odpowiadać na te listy, pisane we wszystkich znanych językach tłomaczy się ustępy więcej zajmujące, które odczytywano bywają Papieżowi, potem umieszcza się je w specyalnej sali archiwów.

Po załatwieniu interesów, Leon XIII rozpoczyna swą długą i nużącą korespondencyę codzienną, która często przerywaną jest odczytywaniem licznych depesz wyprawianych z pięciu części świata z prośbą o błogosławieństwa *in articulo mortis.* Czy to proszą o nie chorzy aby umrzeć spokojniej, czy to rodziny, robiąc z tego kwestyę próżności, dość że w każdym razie liczba otrzymywanych codziennie telegramów jest bardzo znaczną.

Watykan posiada prawo do bezpłatnej komunikacyi telegraficznej ze swymi reprezentantami zagranicą. Ilość depesz telegraficznych jest tak znaczną że zużyła cierpliwość wielu interesowanych chcących treść ich poznać, choć i tak bez klucza jest to niemożliwem. W depeszach tylko nazwa kraju i adres odbierającego są pisane literami, wszystkie inne cyframi, np. 18365792214367009 i t. d. bez przecinka ani punktu.

Całe rano Papież poświęca sprawom różnego rodzaju. W południe przyjmuje naprędce skromny posiłek, przed udaniem się do swych apartamentów na spoczynek podczas gorąca dziennego.

O szóstej wieczorem, Leon XIII otoczony małym swym dworem, schodzi do ogrodu, gdzie czekają go powozy i gwardya szlachecka. Orszak kieruje się ku kioskowi wschodniemu, wzniesionemu niedawno w jednem z najpiękniejszych miejsc ogrodu. Papież zatrzymuje się tu chętnie; toczy się rozmowa przy lodach i kawie. Ważniejsze wypadki dnia stanowią przedmiot rozmowy, a napaści dzienników zagranicznych i włoskich na politykę Watykanu wywołują wesołe śmiechy.

O zachodzie słońca powrót do pałacu. Lekarze zalecili Papieżowi nie wystawiać się na wpływy powietrza po zachodzie słońca.

O dziewiątej najpóźniej Leon XIII kładzie się do łóżka odmawiając przedtem przez pół godziny modlitwy, klęcząc na swym klęczniku.

Tak upływa dzień letni w Watykanie.

RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Właścicielki ziemskie z pod Grójca zawiązały spółkę z kapitałem zakładowym osiem tysięcy rubli wynoszącym, w celu założenia dwóch sklepów w Warszawie z produktami wiejskich wyrobów. Myśl śliczna, nie dlatego jedynie że staną panie nasze do współzawodnictwa z przekupniami i faktorami, ale że jest to objaw ocknienia się ducha działalności ekonomicznej, czego brak dotąd prawie wieś trzyma zdala od łokcia i kwarty tak przez nią odwiecznie pogardzanych. Są wprawdzie nie bez zasady, wróżący z góry przedsiębiorstwu temu niepowodzenie, ale... może się to sprawdzić tylko w takim razie, jeżeli spólniczki przedsięwzięcie swe będą uważać za chwilową zabawkę, którą znudzone porzucą jak każdą inną. Uznana zaś jako praca, trudna, mozolna i wymagająca energii i natężenia myśli, może z początku utykać, nurzać się w zwątpieniu, nawet tonąć, wydźwignie się jednak i stanie na stałym gruncie powodzenia.

Wina owocowe, reprezentowane, jak wiadomo, na ostatniej wystawie ogrodniczej w pomarańczarni, obudziły znaczne zainteresowanie tym nowym u nas przemysłem. Ze względu na przyjemny smak wina i taniość jego produkcyi, powszechnie uważano za bardzo możliwe i korzystne rozwinięcie u nas tego rodzaju wytwórczości. Obecnie dowiadujemy się otóż, że jeden z przemysłowców p. P., wyjechał dla zwiedzenia w cesarstwie kilku fabryk wina owocowego, prowadzonych na wielką skalę i przy obeznaniu się z produkcyą, zamierza po powrocie i u nas taki zakład przemysłowy założyć. Gdyby się to stało, wielkiby całemu krajowi przyniosło pożytek utworzenie zupełnie nowego przemysłu z materyałów na gruncie znajdujących się. Francuzi wyrabiają z jabłek i gruszek i to poślednich gatunków tak zwanych Sydr, moglibyśmy i my mieć swoje jabłeczniki, które z miodami różnego rodzaju śmiało mogłyby z winami zagranicznemi współzawodniczyć!

Z wielkiem niezadowoleniem, pomieszczamy wiadomość, że pewna panna, córka byłego obywatela ziemskiego a obecnie urzędnika prywatnego, z powodu blizkiego zamążpójścia zamówiła ślubną wyprawę w Paryżu, na którą złożyła się rodzina narzeczonej. Zbytek taki pod każdym względem godny skarcenia, jako wyrzucany na ziemie przesyconą bogactwem, i jako dokonany przez córkę bardzo niezamożnego ojca.

Chiromancya wraca do dawnego znaczenia a szarlatanizm zaczyna coraz lepiej rozkwitać. Donoszą bowiem że oprócz różnych wróżek warszawskich, przyjezdnych i miejscowych, ma przybyć jeszcze do Warszawy na dłuższy pobyt, jakaś panna Flora Virey, paryżanka, zajmująca się wróżeniem z ręki, której tak ruble tutejsze zawirowały w głowie, że ma ustanowić stałą opłatę dla przyszłych swych klientów już co najmniej... łatwowiernych.

W zapale tworzenia wystaw jeden z tutejszych troszkę zagalopowanych w pomysłach, rzucił myśl urządzenia wystawy dotyczącej życia i prac zmarłego Franciszka Liszta, jako wielkiego mistrza muzyka. Na całość tej projektowanej wystawy, złożyłyby się portrety olejne i fotograficzne z rozmaitych epok życia genialnego mistrza, utwory kompozycyjne, listy autograficzne posiadane przez mieszkańców naszego grodu, a nareszcie przedmioty pamiątkowe udzielone przez mistrza rozmaitym osobom. Innicyator sądzi, jak powiada Kuryer Warszawski, iż wystawa ta urządzona w sali Towarz. muzycznego, z przeznaczeniem dochodu na cel dobroczynny cieszyłaby się powodzeniem...

Rzecz to niezmiernie wątpliwa, nieposiadająca żadnych danych do obudzenia ciekawości w szerszem kółku ciekawych.

Mazepa opera Adama Münchheimera, znalazła aż w Antwerpii gościnne przyjęcie i tam teatr królewski ma ją w nadchodzącej zimie przedstawić. Dlaczego aż w tak dalekiej stronie pan Münchheimer szukał przytułku dla swego utworu, jest to tajemnica dotąd nierozplątana.

W Ameryce w kwestyi kobiet dotyczącej stał się fakt wielkiej doniosłości. Oto w New-Yorku jednej ze słuchaczek uniwersytetu przyznano tytuł doktora obojga praw, co dotąd pierwszy raz podobno miało miejsce. To powolne ale ciągłe zdobywanie nowych miejsc do współzawodnictwa z mężczyznami, ma wielkie znaczenie w rozwoju gospodarstwa społecznego.

Niedawno pisma szeroko rozgadywały się o golarkach kobietach, jakoby aż z zagranicy sprowadzonych do tego nowego dla nich zajęcia, a to znów w tych dniach jakaś młoda dzieweczka, uprosiła o przyjęcie jej do nauki stolarstwa, zobowiązanie się do każdej pracy w zakresie rzemiosła jakiemu się poświęciła. O golarkach rzecz sprawdziła się i już mamy balwierki co mydlą, golą i strzygą ale nie Paryżanki, tylko nasze, własne na rodzinnym naszym zagonie wyrosłe. Stolarka zaś stanie się przykładem dla młodzieży co ciśnie się z głową bez talentu do literackiego chleba, a krzywi się wstrętnie do hebla i młota choć zdrowe ma serce i siły potemu. Może rada ta nie wszystkim przypadnie do smaku, ale lepiej pono być sytym rzemieślnikiem z nadzieją dorobku, jak wychudzonym literatem z widokiem nędzy na stare lata i skorupką żebraczą.

Hodowla królików. Założona niedawno w Bobrzy, w powiecie kieleckim, królikarnia, bardzo szybko się rozwija.

Są tu bardzo ładne gatunki królików hodowanych dla włosa i na mięso, te ostatnie dochodzą znacznej wielkości.

Obecnie królikarnia w Bobrzy sprzedaje już po 200 królików miesięcznie, a w roku przyszłym ma nadzieję dojść do tysiąca.

Znaczny dochód zapewnia sprzedaż skór, na które prawie nieograniczony jest popyt za granicą.

Mężczyźni praczki. Właściciel jednej z tutejszych pralni do wyżymania i maglowania bielizny począł używać mężczyzn, których siła w tem zajęciu jest wielce użyteczną...

A więc mężczyźni, mszcząc się za „golarki", rzucają się do pracy, dotąd wyłącznie uprawianej przez kobiety...

Nasi kmiotkowie. W tych dniach do jednego z handlów win i delikatesów weszło grono, złożone z czterech włościan, przybranych w sukmany i grube buty.

Wieśniakom towarzyszył niemłody mężczyzna którego ogorzała twarz świadczyła, iż należy do sfer obywatelskich.

Włościanie zadysponowali śniadanie, na którem nie brakło wina, ani delikatnych przysmaków.

Jeden z „chłopów", po ukończeniu śniadania, zapłacił rachunek wynoszący przeszło rs. 50.

Powodem uczty było polubowne załatwienie sprawy sądowej, wszczętej przez obywatela i sąsiada, o szkody wyrządzone przez włościan na jego gruntach.

A więc nasi kmiotkowie „cywilizują" się nie żartem.

Skutki gry hazardowej. Młoda małżonka hr. Sporto w Neapolu oczekiwała w nocy 27 lipca z wielką niecierpliwością na swego męża, który poszedł do klubu na partyjkę. Po północy powrócił Sporto i powiedział żonie, że przegrał cały swój majątek, domy, wieś, gotówkę — jednem słowem wszystko. Napisał list do mieszkającego w Rzymie ojca swego i prosił go o zaopiekowanie się jego sześciorgiem małych dzieci. Następnie wstąpił na balkon i rzucić się chciał na bruk—żona usiłowała go powstrzymać i objęła go ramionami. Chciał się wyrwać z objęć małżonki i podczas szamotania wypadli z balkonu na bruk, gdzie znaleziono ich martwych. Sprawa ta wywołała w Neapolu ogromną sensacyę, gdyż hrabina była bardzo lubianą kobietą.

Praktyczny wynalazek. Niejaki Emil Dittrich obmyślił rodzaj haczyka do paletota, urządzonego tak, że przytrzymuje także kapelusz i zdjęcie z wieszadła tylko w sposób przez wynalazcę wskazany może nastąpić, gdyż haczyk zamyka się szczelnie i przytrzymuje zarazem kapelusz, nie uszkadzając go wcale. Zamknięcie to następuje samodzielnie i równocześnie z boku wyskakuje kluczyk z numerem takim, jaki jest na wieszadle. Kluczyk ten właściciel paltota chowa do kieszeni i wychodząc, otwiera nim i zdejmuje odzienie, podczas gdy w tejże chwili w bufecie odzywa się dzwonek wskazujący, że gość Nr. X wychodzi. Aparat ten, służy więc i do kontroli.

Praktyczność jego nie da się zaprzeczyć, byleby nie był zbyt kosztowny, ale wątpimy, czy przypadnie do gustu amatorom cudzych paletotów i kapeluszy.

Nowość wielka spotkała Warszawę. Oto grono turystów Anglików, złożone z osób 18 przybyło do niej na dni kilka, aby przepatrzeć się jej bliżej i poznać co dotąd w podróżnikach podobnych nie obudzało żadnej ciekawości. Należą do nich trzy rodziny zamożnych przemysłowców i fabrykantów, które corocznie już od wielu lat poświęcają parę miesięcy czasu na podróże po rozmaitych stronach świata.

Po zwiedzeniu Włoch, Francyi, Szwajcaryi, Niemiec, przypadła obecnie kolej na nasz kraj, który cudzoziemcy zwykli odwiedzać chyba w interesach handlowych, zawsze w nadziei korzystnego zarobku.

Turyści, w liczbie których znajdują się cztery damy, zająwszy kilkanaście numerów w hotelu Victoria, zaraz nazajutrz po przybyciu, przed godziną 8-mą zrana, wybrali się na wędrówkę po mieście.

Całe grono poważnych synów Albjonu z Bädekerami w rękach wyruszyło do Saskiego ogrodu, wchodząc pod portykiem pałacowym od strony Saskiego placu.

Niezwykły ten orszak obudzał ogólną ciekawość i wiele osób przyłączyło się do tego grona.

Anglicy, znalazłszy się przy wodotrysku, jakby na komendę, otworzyli Bädekera i odczytywali krótkie uwagi odnoszące się do naszego „letniego salonu."

Widok posągów odrapanych i nielicujących z otwartą przestrzenią, pełną kobierców i kwietników, wywołał ironiczne uwagi.

Do podobnej dysharmonii nasze oko musiało się już przyzwyczaić, ale turzystom dziwnie się zdawało.

Wędrówka po ogrodzie trwała z półgodziny, potem wszyscy wsiedli do oczekujących powozów, udając się na Stare Miasto i do kościołów położonych w tej dzielnicy.

Fizognomie turystów były zimne i obojętne.

Wrażeń, czy to dodatnich, czy też ujemnych, odnoszonych przy zwiedzaniu nowego dla nich miasta, nikt nie może dostrzedz, a towarzyszący przewodnik nie jest nawet pewny, czy go słuchają, ponieważ informacye Bädekera zdają się im wystarczać.

Przy wejściu całego towarzystwa do kościoła św. Jana, ludek wziął ich za jakąś kompanię pątników.

Dziwiono się tylko, że wszyscy mają takie duże czerwone książki do nabożeństwa, do których co chwila zaglądają i znów wodzą okiem po kościele.

Widok grupy żebraków w kruchcie kościelnej zaciekawił turystów, gdyż zatrzymali się przy nich a na ogólny chór zwykłych czułych apostrof, które przewodnik zaraz przetłomaczył, żebracy otrzymali hojną jałmużnę.

Cały dzień poświęcony został zwiedzaniu miasta pod względem zewnętrznym, w następnym zaś turyści obejrzeli park łazienkowski i Wilanów.

Podróż nie ogranicza się na samej Warszawie w dalszym bowiem projekcie, postanowiono uczynić kilka wycieczek w różne strony kraju, a mianowicie: zwiedzić Lublin, Radom, Kielce, góry Świętokrzyskie, wreszcie przejechać się statkiem dla poznania brzegów Wisły. Obecnie pojechali do Łodzi i Częstochowy.

Smutny dramat rodzinny rozegrał się w tych dniach na uroczystości srebrnego wesela pp. Hollweg w dobrach Gross Weissensee w Prusach. Dwaj synowie jubilatów, przybyli na festyn rodzinny, oglądali wraz z innymi panami nową broń ojca w pokoju myśliwskim, gdy naraz młodszy Hollweg przez nieostrożne dotknięcie kurka, nie wiedząc, iż broń jest nabita, spowodował wystrzał i kula trafiła starszego brata, który ugodzony w pierś padł zbroczony krwią na ziemię. Pośród zebranych licznie gości powstało zamieszanie nie do opisania, zajęto się ranionym, i nikt nie spostrzegł zniknięcia mimowolnego sprawcy zbrodni. Nagle rozległ się strzał drugi, w górnym pokoju, gdzie znaleziono młodszego Hollwega bez życia; nie mogąc znieść myśli, iż jest bratobójcą, zabił się wystrzałem z rewolweru. Lekarz tymczasem, obecny na szczęście śród zgromadzonych gości, oznajmił, iż rana starszego Hollwega nie jest niebezpieczną, jakoż chory, wkrótce przyszedł do przytomności i uporczywie dopytywał się o brata. Tragiczne w istocie zakończenie uroczystości rodzinnej.

Z dziedziny humorystycznej.

W miasteczku Gieranosz, w okolicy Wilna, parę tygodni temu, o godzinie drugiej po południu, miejscowy kościół parafialny zapalił się od uderzenia pioruna i to w chwili, gdy straszna burza szalała nad miasteczkiem. Rozpacz ogarnęła wszystkich i wszyscy odeszli od przytomności, jeden tylko miejscowy organista nie stracił głowy i za przykładem jego rzucono się tak skutecznie do ratunku, że tylko część wiązania dachowego uległa pogorzeli. Gdy oprzytomnieni mieszkańcy przystąpili do obejrzenia szkód zrządzonych przez piorun, z wielkim podziwem postrzegli, że grom ten uderzywszy w wieżę, dostał się do wnętrza świątyni i zerwawszy całą pozłotę z obu bocznych ołtarzy, przepadł bez wieści, śladu po niej nawet nie zostawiwszy. Gdy dziwiono się temu, jeden z obecnych rzekł:

— Z pewnością musiał ten piorun być pozytywistą warszawskim, kiedy niczego się nie tknął tylko złota będącego dla nich bałwanem czci religijnej.

* * *

W Saskim ogrodzie zeszło się dwóch znajomych.

— Co słychać? — pyta się jeden.

— Zwykła bieda i stękanina.

— Pocieszajmy się tem dzisiaj, że będzie jeszcze gorzej jutro.

— Bój się Boga! i z czegóż to wnosisz?

— Że ludzie hurtem się żenią, co krok to spotkać można orszak weselny na ulicy.

— To z tego przeciwny wniosek możnaby wyprowadzić, że położenie ekonomiczne poprawiło się znacznie.

— Ale gdzietam, to tylko dowodzi, że coraz więcej przybywa zrozpaczonych, że ludzie przypuszczając, iż ginąć będą, mówią sobie: ma mnie samego porwać licho, niechże porywa w towarzystwie, będzie mi jakoś raźniej, a i dlatego żenią się.

— Być może, zawsze to i w takim nawet razie stanowi dobrą stronę małżeństwa.

* * *

Miłość, małżeństwo i... żydzi są zawsze niewyczerpanym materyałem dla humorystyki i zdaje się, że gdyby go brakło i humorystyka przepadłaby z kretesem.

— Pani! ja cię *ubóstwiam*! woła rozkochany spekulant bogatej żeniaczki.

— Daj mi pan pokój — odpowiada zaczepiona oświadczynami — nie cierpię *ubóstwa*.

— Jakto *ubóstwa*?

— A tak, bo na ratunek jego brak mi... posagu.

— To przepraszam, nie wiedziałem.

* * *

— Może się mylę — mówi w poufnem zebraniu pani Z. — ale zdaje mi się, że X. to musi być bardzo łagodnego usposobienia.

— O! nie pani, czasem bywa zły jak dyabeł — odpowiada jeden z obecnych.

— Przesadzasz pan, przecieć X. nie ma rogów.

— Swoich własnych rzeczywiście nie ma, ale często nosi je przyprawiane.

* * *

— Pan X. podobno obchodzi złote wesele, ale nigdy nie przypuszczałem aby miał więcej lat jak pięćdziesiąt dwa a trzy najwyżej.

— Bo też nie ma więcej.

— Jakimże więc sposobem może obchodzić złote wesele?

— Właściwie przeżył w małżeństwie lat 25 dopiero, ale powiada, że w stanie tym lata jak na wojnie liczą się podwójnie, jeden za dwa.

* * *

W jednym z numerów „Kolców", kolosalny żyd stoi na scenie, a publiczność złożona z ludzi, małych bardzo rozmiarów, siedzi przed nim w ławkach jak w teatrze i z zadartemi głowami przypatruje mu się jak wielkiemu dziwowisku. Z po za kulis wychodzi mały wzrostem żydek i wskazując na kolosa powiada:

— Patrzcie państwo, jaki un wielkie a wi małe.

Jest to przytyk do memoryału podanego przez tutejszych żydów do komisyi nad niemi obradującej, w jakim przedstawili się jako nasi dobrodzieje, bez których w całem gospodarstwie społecznem nie dalibyśmy sobie rady i z głodu i nędzy zginęlibyśmy jak Szwed w Kampinowskiej puszczy.

* * *

— Gdzieś pan siedział, pyta Mucha, przez miesiąc cały, panie Izydorze?

— Byłem na wsi w Matkowie, pod Olkuszem.

— Chyba w Ojcowie...

— A tak, w Ojcowie, ale to wszystko jedno, czy Matka czy Ojciec to przecie jedna rodzina.

* * *

Na rysunku w Kuryerze Świątecznym, do bogatego bankiera z garbatym nosem, a więc brzuchatego i wydętego, zbliża się, nasz zwyczajny bardzo śmiertelnik w skromnym paletociku i widząc jak idzie pompatycznie z laską za plecami trzymaną, powiada:

— Pan Izydor jak uważam, musiał dobry zrobić interes, bo z taką *pompą* spaceruje.

Wyraz pompa nie spodobał się panu bankierowi, obruszył się i lepiej się jeszcze nadymając, kręcąc nosem, odrzekł głos nieco podnosząc:

— Mój panie, potrzebujesz pan wiedzycz, co ja nie jestem żadne *studnia* ani *wodociąg*, żebym z pompą spacerował.

* * *

Zabawne także czasami bywają zakazy godne dziedziny humorystycznej. I tak:

Kiszka należała kiedyś do pokarmów zakazanych przez samego cesarza. Jedno z pism wiedeńskich podając historyą kiszki, przypomina z tego powodu zabawny rozkaz cesarza bizantyjskiego, Leona IV-go, panującego od r. 886-go do 911-go. Monarcha ów wydał następujący reskrypt:

„Dowiedzieliśmy się, że ludzie wściekli się do tego stopnia, iż wlewają krew do flaków i wytwarzają w ten sposób nowy rodzaj potrawy. Ponieważ nie możemy się na to zgodzić, aby żarłoczność zochydzała honor naszego państwa, przeto rozkazujemy: ktokolwiekby żywił się taką obrzydliwością ma być obity i ogolony aż do skóry, jak człowiek bez czci. Władze zaś, któreby pozwoliły na taką nikczemność, zapłacą za niedbalstwo swoje dziesięć funtów w złocie."

* * *

Dziwnego rodzaju prorok nawraca od pewnego czasu zdziczałą hołotę, włóczącą się po puszczach amerykańskich. Jest nim niejaki Lampasas Jake, mężczyzna olbrzymiego wzrostu i potężnego głosu, zaciekły fanatyk religijny. Chodzi on od kolonii do kolonii, od karczmy do karczmy i prawi dawnym towarzyszom swoim jędrne kazania. Jake nawraca iście po amerykańsku z rewolwerem w dłoni. Oto próbka jego „kazań": „Przychodzę—mówi Jake, stanąwszy w jakiej karczmie—aby wam opowiedzieć kilka słów o waszej duszy nieśmiertelnej, przeto zamknijcie na chwilę swoje obrzydliwe mordy. Żyjemy w kraju, w którym każdemu wolno mówić co mu się tylko podoba, więc chcę teraz mówić." Po takim wstępie wchodzi Jake na krzesło wśród ogólnego milczenia, gdyż słuchacze wiedzą, że prorok nie lubi żartów i prawi dalej: „Iluż to z was może jutro śniadać w piekle? Nie patrzcie na mnie tak zajadle, wy: pijacy, bandyci, gracze, złodzieje i rozbójnicy! Znam was bardzo dobrze, gdyż byłem sam takim łajdakiem jak wy. Jesteście jak zwierzęta bez pana, aż was szatan za łeb weźmie i zrobi swoimi sługami. Jeśli wam się zdaje, że wymkniecie się z jego pazurów, to się bardzo mylicie. On trzyma was już za kołnierz i bawi się tylko wami, aż mu się uciecha sprzykrzy. Nie patrzcie tak na mnie swojemi głupiemi ślepiami, jak gdybyście nie wiedzieli czego chcę. Żaden z was, łajdaki, nie może mi imponować, bo byłem niegdyś większym łotrem od was, a ukorzyłem się przed wolą Boga. Przebiegałem całą Amerykę, kropiłem do każdego z rewolweru lepiej od was, byłem odważnym, zuchwałym, gwałtownym, a przecież uległem. Założę się z wami o pięć dolarów, że boicie się dyabła; założę się o dziesięć dolarów, żebyście nie chcieli być w piekle, założę się o sto, że pragniecie ratunku. Ja wam przynoszę ocalenie. Na kolana, hałastra, i ryczcie z żalu, jak niedźwiedzie, wyjcie, proście Boga o zmiłowanie. Na kolana, powiadam, bo..." Tu podnosi Jake rewolwer, więc wszyscy czynią czego żąda, a on mówi dalej: „Tak, to lubię! Ryczcie, módlcie się, a Bóg ulituje się nad wami, podłe łajdaki! Ja wiem, że gdy odejdę, powiecie: Jake zwaryował, został nabożnym. Ale żaden z was nie ma odwagi powiedzieć mi to w oczy. Wiem, że będziecie wymyślali na religię, jako na rzecz niepotrzebną, ale tylko pocichu. Bo strach was bierze, gdy pomyślicie o piekle, w którem was szatani smażyć będą. Poprawcie się łotry!" Po takiej kapucynadzie zatyka Jake rewolwer za pas i odchodzi. Człowiek ten wywiera ogromny wpływ na swoich dawnych towarzyszów i zrobił już wiele dobrego.

ZAWIADOMIENIA.

Przeglądu Pedagogicznego

Nr 13 wyszedł z druku i zawiera:

1. Wakacye. Dbałość o zdrowie, przygotowanie do egzaminów powakacyjnych, przeciwdziałanie złym wpływom na pojęcia i charakter młodzieży, obznajmianie z praktyczną stroną życia, czytanie wakacyjne, przez Floryana Łagowskiego. — 2. Z wycieczki w celu zwiedzenia zakładów profesyjnych, przez J. Kühna. — 3. Wskazówki metodyczne do nauczania początków gramatyki języka polskiego, przez Henryka Wernica. — 4. Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem, od urodzenia do 20 roku życia, przez J. Wł. Dawida.—5. Korespondencya z Krakowa. — 6. Nauka o rzeczach. (Wyjątek z dzieła D-ra Gabryela Compayré pod tytułem: Cours de Pedagogié theoretiqué et pratique, tłom. z franc. 7. Krytyka i bibliografia: I. E. Taylor. Zmyślność i moralność roślin. Przekład J. K. Potockiego, ocenił St. Kamieński. Przegląd literatury zagranicznej, p. J. P. Dodatek: Zadania na ułamki S. Dicksteina.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 33 wyszedł z druku i zawiera:

Kilka rysów z dziejów Francyi. — Przed chatą kolonisty w Czechach (drzeworyt).—Sonet (wiersz). Książę i biedak. — Trytony większe (z drzeworytem). — Kapitan Ferragus. — Wspomnienia historyczne — Z nauki. Dodatek: Gagatek.—Mucha stara i młoda (wiersz). — Awantury pana Głuptasiewicza (z drzeworyt.). — Krzyżyk (wiersz). Państwo Guzdralińscy. — Zazdrość (wiersz). — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Іюля 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Opis do N-ru 32.

(*Dokończenie.*)

N. 33. Ścieg perski krzyżowany. Patrz N. 1 na arkuszu z krojami.

Deseń przedstawiony pod N. 1 odrobiony był na kanwie Jawa licząc po trzy nitki w kwadrat. Ścieg ten wyszywa się rzędami prostemi, przeplatając nitki w każdym krzyżyku podług ryc. 33.

N. 35. Sukienka wycięta dla dziewczynki.

Ma staniczek 26 cent. długi, z tyłu zapinany, układany w kontrafałdy $2\frac{1}{2}$ cent. szerokie, spódniczka 19 cent. długa zaszyta w zakładki i ułożona w kontrafałdy u dołu zakończona koronką 9 cent. szeroką. Wykrój szyi ogarnirowany koronką; kokardy z wstążki 3 cent. szerokiej.

N. 36. Fartuszek dla dziecka. Krój na arkuszu N. V, fig. 26—27.

Odrobiony z perkalu w paski podług formy fig. 26 ma rękawy bluzkowe (fig. 27) u dołu przymarszczone do 16 cent. i wszyte w pasek 3 cent. szeroki zapięty na guziczek.

N. 38. Ubranie dla panienki lat 12—14.

Spódnica z żółtawego batystu, oszyta haftowanym wolantem 50 cent. szerokim, przysłonięta w górze draperyą z batystu, zaszytą u dołu w cztery drobne zakładki, w górze zmarszczoną do paska, z jednego boku podpiętą kokardą z różowej atlasowej wstążki, 6 cent. szerokiej, z drugiego sfałdowaną i wpuszczoną w boczny szew sukni. Z tyłu dany bryt prosty, lekko podpięty. Stanik z tyłu zapinany, ma przody ułożone w zakładki wzdłuż haftowanego plastronu. Brzeg dolny baskiny zdobi haft wywinięty w górę.

N. 39. Suknia z upięciem à panier.

Uszyta z batystu żółtawego w kolorowy rzucik, przybrana koronką, mchowo zielonym aksamitem i kokardami z wstążki gazowej zielonej i ponsowej, 3 cent. szerokiej. Przód spódnicy zaplisowanej w płaskie fałdy 7 cent. szerokie, pokryty jest trzema koronkowemi falbanami po 35 cent. szerokiemi, z prawej strony przyciśniętemi upięciem z kokard, z lewej zaś środkowa falbana zachodzi w górę aż do biodra i ułożona w fałdy wachlarzowe ginie pod upięciem à panier, danem z poprzecznie wziętego brytu batystu. Kaftanikowe przody stanika zakończone aksamitnemi wykładami, dopełnione są kamizelką koronkową, przewiązaną kokardą.

N. 40. Szlafroczek z podwójnemi przodami. Krój na arkuszu N. X, fig. 36.

W całej długości zapięty na kryte guziki, odrobiony był z etaminy wiśniowego koloru, przybrany takimż aksamitem i etaminą koloru ficelle. Na maleńkim formacie kroju fig. 36, litera a oznacza krój podszewki pod przody, litera b materyał zwierzchni krajany o 15 cent. dłużej, pas cieniowany oznacza plisę aksamitną. Obydwie połowy przodów szyte są w górze składając gwiazdką do gwiazdki; zbywająca długość materyału zwierzchniego, podnosi się na wcięciu stanu w bufę widoczną na ryc. 40, składając krzyżykiem do krzyżyka i punktem do punktu. Krótkie plecy dopełnia bryt c zmarszczony w górze. Na fałdowany plastron przedni potrzeba przy każdej połowie przodu dodać na gładkiej podszewce a część z jasnej etaminy ułożoną w płaskie fałdy, 45 cent. szeroką przyszytą do podszewki 7 cent. poniżej wykroju szyi i podchodzącą pod przody. Bufa marszczona spuszczająca się w pasie na 9 cent. dochodzi do szwu bocznego w przodach. Rękawy otwarte do łokcia objęte są plisą aksamitną 5 cent. szeroką i dopełnione bufą z etaminy. 23 cent. szeroką.

Opis do N-ru 33.

N. 1, 16 i 21. Suknia z kaftaniczkowym stanikiem.

Na modelu do ryc. 1, podszewkową spódnicę zakończoną wolantem 15 cent. szerokim, odrobioną z czerwonego szwajcarskiego perkalu, prawie całkiem pokrywała druga spódnica z poprzecznie obróconego, szarego batystu w pasy satynowe. Odstępy batystowe pomiędzy pasami, zapełniają do 58 cent. wysokości, szlaczki haftu *madera* robione bawełną *écru* i ponsową; dolny szlaczek zakończony ząbkami ma 5 cent. szerokości. Stanik i draperya były z perkalu w rzucik różno kolorowy, między którym przeważa kolor ponsowy i niebieski. Obadwa przednie bryty draperyi, przykrojone podług miar i małego wzoru kroju ryc. 21 litera *a*, trzeba w górnym brzegu części krótszej sfałdować podług znaków do 7 cent. szerokości i wszyć w pasek, a część skośnie ściętą bocznego brzegu sfałdować do 10 cent. i przyszyć poniżej paska, bo tym sposobem układa się zgrabne *panier*. Górną część zewnętrznego brzegu, podwija się podług kropkowanej linijki, na obrąb 20 cent. szeroki, i gładko spuszczoną z tyłu, przyczepia nieznacznie do spódnicy. Wewnętrzny brzeg boczny częścią w półkole podciętą, wszywa się gładko w pasek, od 110 do 92 zostawia się rozporek, a od gwiazdki do dwukropka, w połączeniu z brytem *b* tworzy draperyę tylną. Górny brzeg brytu tylnego w miejscu cienką linijką oznaczonem, marszczy się 3 razy do 5 cent. szerokości i przypina na baskinie stanika, a koniec pozostały od 122 do 177 podpina się przy pasku, sposobem wskazanym na ryc. 16. Z pod otwartych, zaokrąglonych przodów krótkiego kaftaniczka, widać drobno plisowaną, do figury gładko przystającą kamizelkę, z czerwonego, szwajcarskiego perkalu. Kokardy z niebieskiej i ponsowej repsowej, $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiej wstążki. Ryc. 16 przedstawia z tyłu taką suknię odrobioną z haftowanego batystu i satynki w rzucik kolorowy.

N. 2 i 17. Suknia z podwójną draperyą.

Bardzo ładnie i lekko ubiera letnią suknię wolant 46 cent. szeroki, z imitacyi koronki *chantilly*, naszyty na spódnicy z gładkiej satynki kremowego koloru, zakończonej wązkiem, drobnem plisowaniem. Suto nadmarszczone wolanty, jedne na drugie zachodzące, pokrywają tylne bryty aż do paska, tylko wolant podłożony 30 cent. szeroką bufą z satynki, naszyty jest w koło sukni. Stanik i draperya zrobiona z kremowego, 80 cent. szerokiego perkalu, w rzucik kolorowy, z 13 cent. szerokim szlakiem. Draperyę układa się z dwóch, poprzecznie obróconych brytów, z których dolny, 362 cent. długi zmarszczony w górze, przyszywa się z lewego boku na spódnicy, zacząwszy w odstępie 5 cent. od wszycia w pasek, dalej spuszcza się do 21 cent. w ząb z przodu i z prawego boku, następnie na środku tylnego brytu wznosi w górę i przyszywa przy pasku razem ze sfałdowanym brzegiem bocznym. Zwierzchnią draperyę układa się z brytu 272 cent. długiego, w górnym brzegu zmarszczonego, któren z lewego boku zaczyna się przyszywać przy pasku, dalej trochę spuszcza i kończy z prawego boku, w odstępie 4 cent. od paska. Podpięcie górnej draperyi wskazuje ryc. 2. Na staniku z krótką baskiną materyał obrócony jest w ten sposób, że szlaki zdobią brzegi przymarszczonych przodów, środek pleców i rękawów trochę przymarszczonych i wszytych w prosty pasek 4 cent. szeroki, któren zarówno jak i kołnierz stojący 5 cent. wysoki, dany był z ciemno ponsowego aksamitu. Kokardy i pasek między boczne szwy wszyty, ze wstążki morowej 5 cent. szerokiej.

N. 5. Koronka z siatki gipiurowej.

Odrobiona z czarnej lub białej włóczki *crewel* albo takiej jak na koronki klockowe, służyć może na szlaki do chustek robionych szydełkiem; robiona z jedwabiu lub nici białych, czarnych albo kolorowych, na szlak do serwetek meblowych. Sposób cerowania i wyszycia, wskazuje ryc. 5.

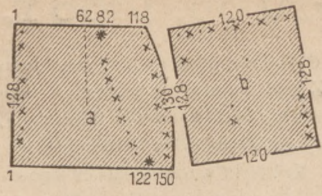
N. 7—8. Serwetka szydełkowa.

Ryc. 7 przedstawia serwetkę szydełkową, mającą 31 c. średnicy, robioną z bawełny popielatej w dwóch cieniach, a na ryc. 8 dajemy w naturalnej wielkości i grubości jedną gwiazdę większą, jedną małą do spajania i część szlaczku, którym obrobione są brzegi. Każdą większą rozetę zaczyna się kółkiem z 6 o. łańcuszka, obrobionych 12 o. ścisłemi, w które robi się 12 słupków przedzielanych 2 o. powietrznemi. W trzecim rzędzie zaczynają się muszki, na które zarzuca się cztery razy nitkę i przewłóczy cztery pentelki przez o. pow. pomiędzy słup.; te razem przewłóczy się jedną pentelką i zrabia jednem o.; muszki przedzielają 3 o. pow. W 4-tym rzędzie takie same muszki przedzielane są ażurami robionemi w sposób następujący 1 muszka, * 1 długo wyciągnięte o. 1 o. śc., w spodnią nitkę tego o., jeszcze 1 długie o., 1 o. ścisłe w spodnią nitkę o., 1 muszka i powtarzać od gwiazdki. Rząd ten zaczynają 2 o. śc. i 1 o. ścisłe łańcuszkowe w oczko zrabiające pierwszą muszkę. W rzędzie 5-tym * 1 o. śc. w pierwsze podwójne nitki długiego oczka, 1 o. śc. w podwójne nitki drugiego długiego o. poprzedzającego rzędu

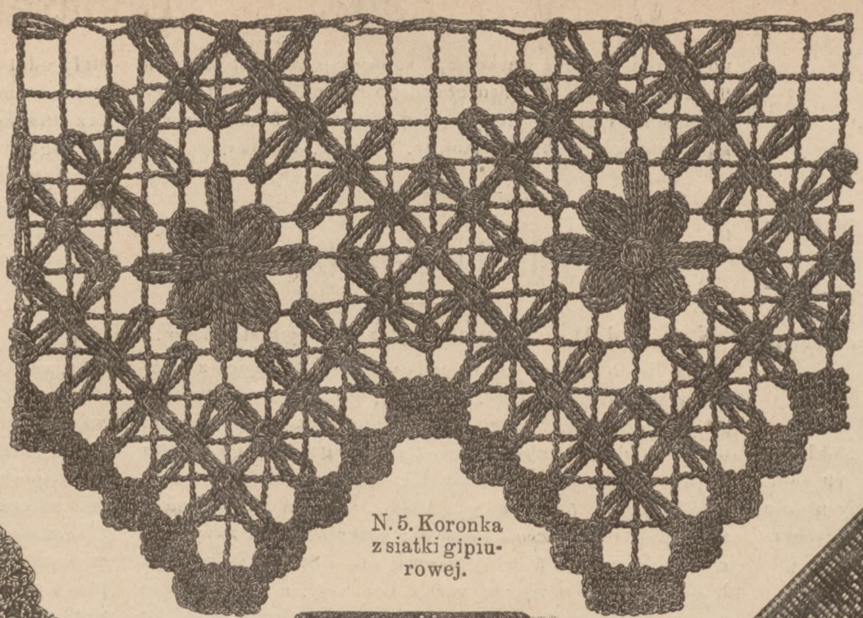


N. 1. Suknia ze stanikiem kaftaniczkowym. Zobaczyć plecy na r. 16. Model kroju draperyi na r. 21.

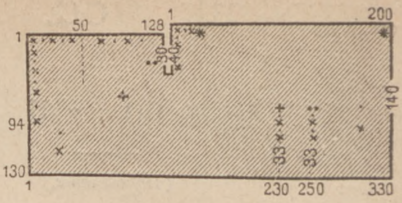
N. 2. Suknia z dwoistą draperyą. Zobaczyć plecy na ryc. 17.



N. 3. Model kroju draperyi do ryc. 15 w N. 34.

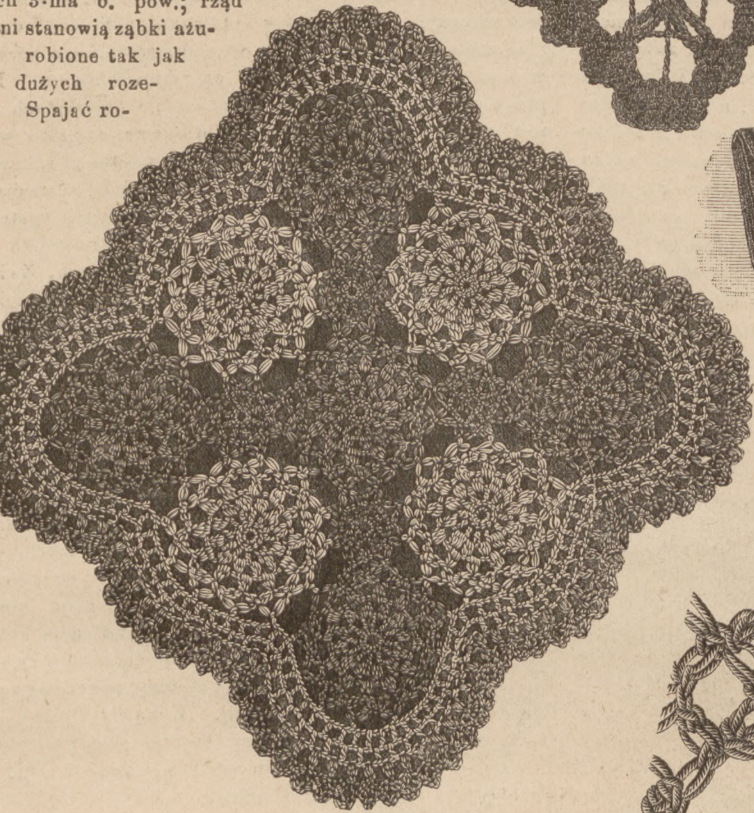


N. 5. Koronka z siatki gipiurowej.



N. 4. Model kroju draperyi do ryc. 16 w N. 34 i do ryc. 20 w N. 33.

1 długie o., 1 o. śc. w nitkę spodnią tego o., jeszcze jedno takie o. długie i 1 o. ściśłe; powtarzać od gwiazdki. Małe rozetki zaczyna się kółkiem z 5 o. łań., obrobionych 8 o. śc., w które robi się 8 słup. przedzielanych 3-ma o. pow.; rząd ostatni stanowią ząbki ażurowe robione tak jak przy dużych rozetach. Spajać rozety w sposób wskazany na ryc. 7, a następnie dodać w koło szlaczek, którego muszki i ażurki robić wyżej opisanym sposobem.



N. 7. Serwetka szydełkowa. Zobaczyć wzór roboty na r. 8



N. 6. Portemonnaie. Deseń żdzierany na skórze

jemy na ryc. 13. Na kanwie równo rozciągniętej w krosienkach, podkładane sznureczki przeszywane są w odstępach, rzędami ściegów stębnowanych, jak to widać na ryc. 13. Na ryc. 12 dajemy $1/4$ część deseniu środkowego i część szlaków w których narożniki dopasować trzeba podług ryc. 11, na każden krzyżyk robi się dwa ściegi, zajmujące dwie nitki kanwy wzdłuż a jedną wszerz.



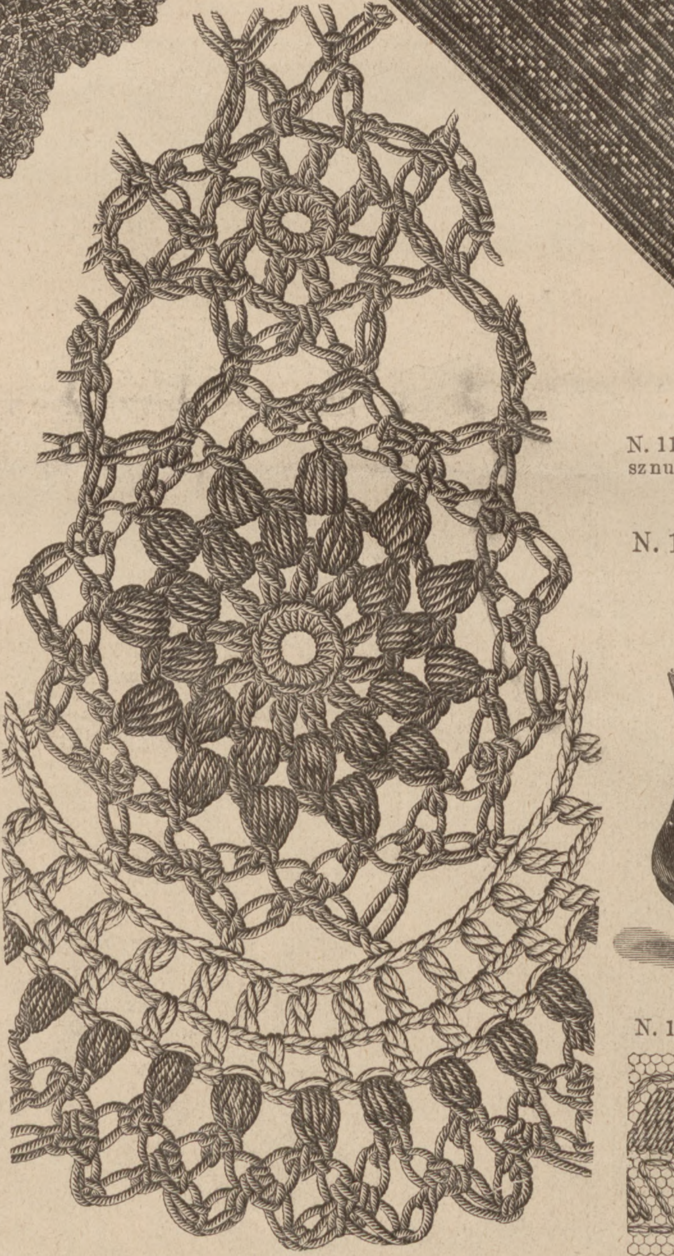
N. 11. Haft gobelinowy na poduszkę, na podkładanych sznureczkach Zobaczyć próbkę szlaczku na ryc. 13, deseń na ryc. 12.

N. 9. Bucik spacerowy z nizkim angielskim obcasem, zrobiony z cienkiej kozłowej skóry, obłożony skórą lakierowaną.

N. 10. Trzewik spacerowy pół głęboki; z francuzkim obcasem.

Do przedniego przecięcia trzewika dodany jest klinik z tej samej kozłowej skórki, na którym brzegi przecięcia złączone są taśmą elastyczną, która uniemożebnia rozsznurowanie się trzewika. Kokarda z 6 cent. szerokiej wstążki *serge*.

N. 11—13. Haft gobelinowy na podłożonych sznureczkach, na poduszkę.



N. 8. Próbka naturalnej wielkości roboty szydełkowej do r. 7.



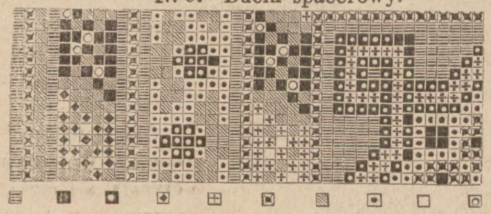
N. 9. Bucik spacerowy.

N. 15, 22 i 23. Poduszeczka do szpilek. Haft i robota szydełkowa.

Na ryc. 23 dajemy deseń do haftu na zwierzchniej stronie poduszeczki, 13 cent. szerokiej a 22 cent. długiej, któren robiony był na grubem płótnie pelą i nitką złotą. Kontury, łodyżki i część listków wyszyte są nitką złotą, przeszywaną przez wierzch, cienkim jedwabiem żółtym; środki kwiatów i większych liści zapełniane były pelą różową, a tło pelą jasno bordo długiemi ściegami, sznureczkowemi, zajmowanemi jedne w środek drugich. Do poprzecznych brzegów poduszeczki, podszytej materyą bordo, dodane były antaby z miedzi polerowanej, a brzegi podłużne zdobiła torsada szydełkowa robiona z jedwabiu jasno bordo, ściegiem plisowanym. Probkę torsady dajemy na ryc. 15; kwasty robić z jedwabiu blado różowego a pompony z peli jasno bordo.



N. 10. Trzewik głęboki spacerowy.

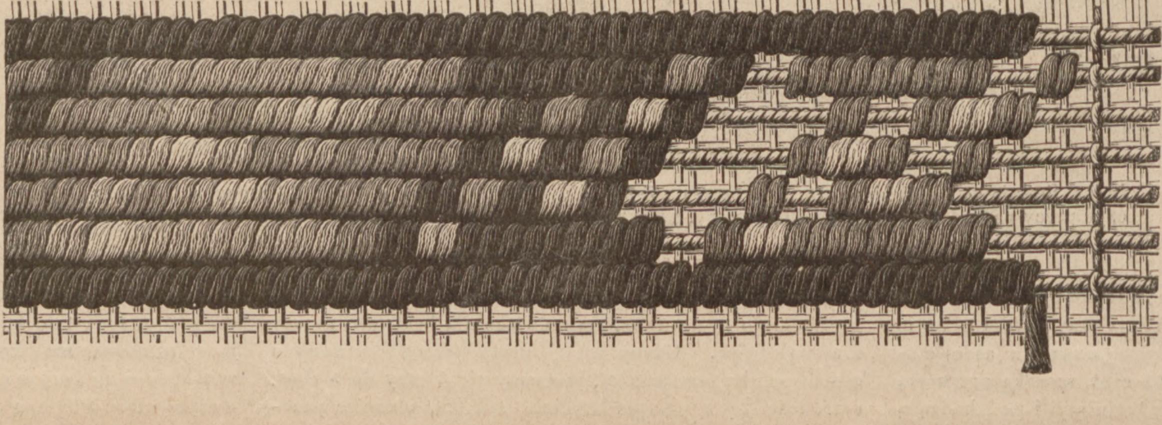


N. 12. Deseń do haftu gobelinowego do r. 11.



N. 14. Wstawka wywodzona na tiulu.

Na ryc. 20—28 w N. 24 Tygodnika mod, podaliśmy próbki i opis haftu gobelinowego na nasnutych w ramach sznureczkach, dziś dajemy wzór podobnej, znacznie ułatwionej roboty. Tutaj haft robiony jest także na sznureczkach, lecz pod takowe dana jest kanwa. Model poduszki do kanapy, trzymającej 45 cent. w kwadrat, robiony był na grubej kanwie nicianej, czteronitkową włóczką kastorową. Próbkę kanwy, grubości sznureczka i włóczki, da-



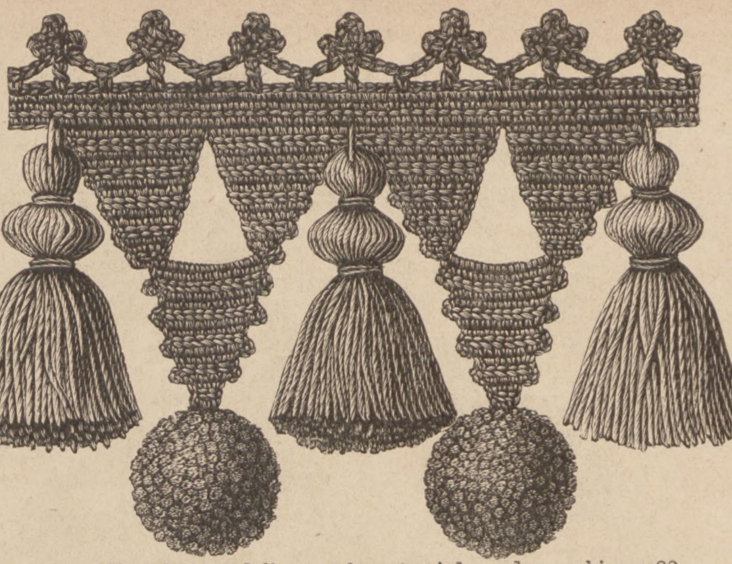
N. 13. Szlaczek do haftu gobelinowego na podłożonych sznureczkach do ryc. 11. Zobaczyć deseń ryc. 12.

N. 18 i 26. Sukienka formą princesse, dla małej dziewczynki.

Model sukienki do ryc. 18 i 26, odrobiony był z batystu jasno bronzowego, formą princesse, z plecami marszczonemi. W przody wstawiony jest plastron, trzy razy w równych odstępach przemarszczony, przy którym sukienka zapina się z boku na kryte haftki. Część gładka spódniczkowa przodu dodana oddzielnie. Falbanka dziergana i haftowana jedwabiem lub bawełną ciemniejszą bronzową, zdobi dolny brzeg sukienki i wykrój stanika, zastępuje krótkie rękawki, a znacznie zwężona naszyta jest z brzegów przy plastronie. Szarfa z bronzowego kaszmiru albo materyi. Na ryc. 18 wykrój szyi dopełnia szmizetka plisowana z białego batystu albo muślinu.



N. 16. Suknia ze stanikiem kaftaniczkowym. Przód na ryc. 1, model kroju na ryc. 21.



N. 15. Frendzla szydełkowa z kwastami do poduszeczki ryc. 22.



N. 18. Sukienka formą princesse z bluzką dla małej dziewczynki. Zobaczyć ryc. 20.

N. 19. Sukienka pod szyję dla małego chłopczyka. Zobaczyć przód na ryc. 24.

N. 19 i 24. Sukienka dla małego chłopczyka.

Ryc. 19 i 24 przedstawia z przodu i z tyłu sukienkę odrobioną z kremowego, miękkiego, bawełnianego materyału, podług formy składającej się tylko z przodów i pleców, do których dodaje się w krajaniu, potrzebną ilość materyału na fałdy; długość całej sukienki wynosiła 52 cent. W szerszej, na wierzch zachodzącej połowie przodów z boku zapinanych, zaszywa się w środku kontrafałdę 7 cent. szeroką, przy której z jednej strony daje się dwie 3 cent. szerokie fałdy plisowane, a z drugiej jedną w której obrobione są dziurki; w drugiej pod spód podchodzącej połowie, są dwie fałdy, z których na brzeżnej przyszyte są guziki, odpowiadające dziurkom. W każdej połowie pleców daje się kontrafałdę 7 c. szeroką, zamocowaną na wcięciu w pasie, dwoma płaskiemi guzikami z konchy perłowej. Długość sukienki dopełnia wolny fałdowany, którego przyszycie pokrywa szlak przerabiany w deseń kolorowy; z takim szlakiem oszyta jest sukienka u dołu, kołnierz wykładany i rękawy. Na ryc. 19 szlak tkany zastępuje szlak wyszyty ściegiem krzyżowym.



N. 17. Suknia z dwoistą draperyą. Przód na ryc. 2.

N. 25. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki.

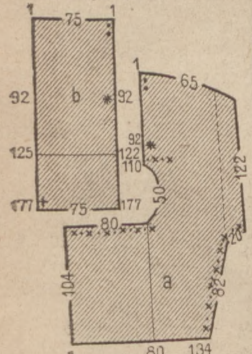
Stanik 26 cent. długi, sukienki z białego bawełnianego materyału w drobne różnokolorowe kropki, odrobiony na gładkiej podszewce, miał plecy gładkie, wcięte do figury, środek przodu bufiasty, przy wykroju szyi 3 cent. szeroko przemarszczany do 14 cent.



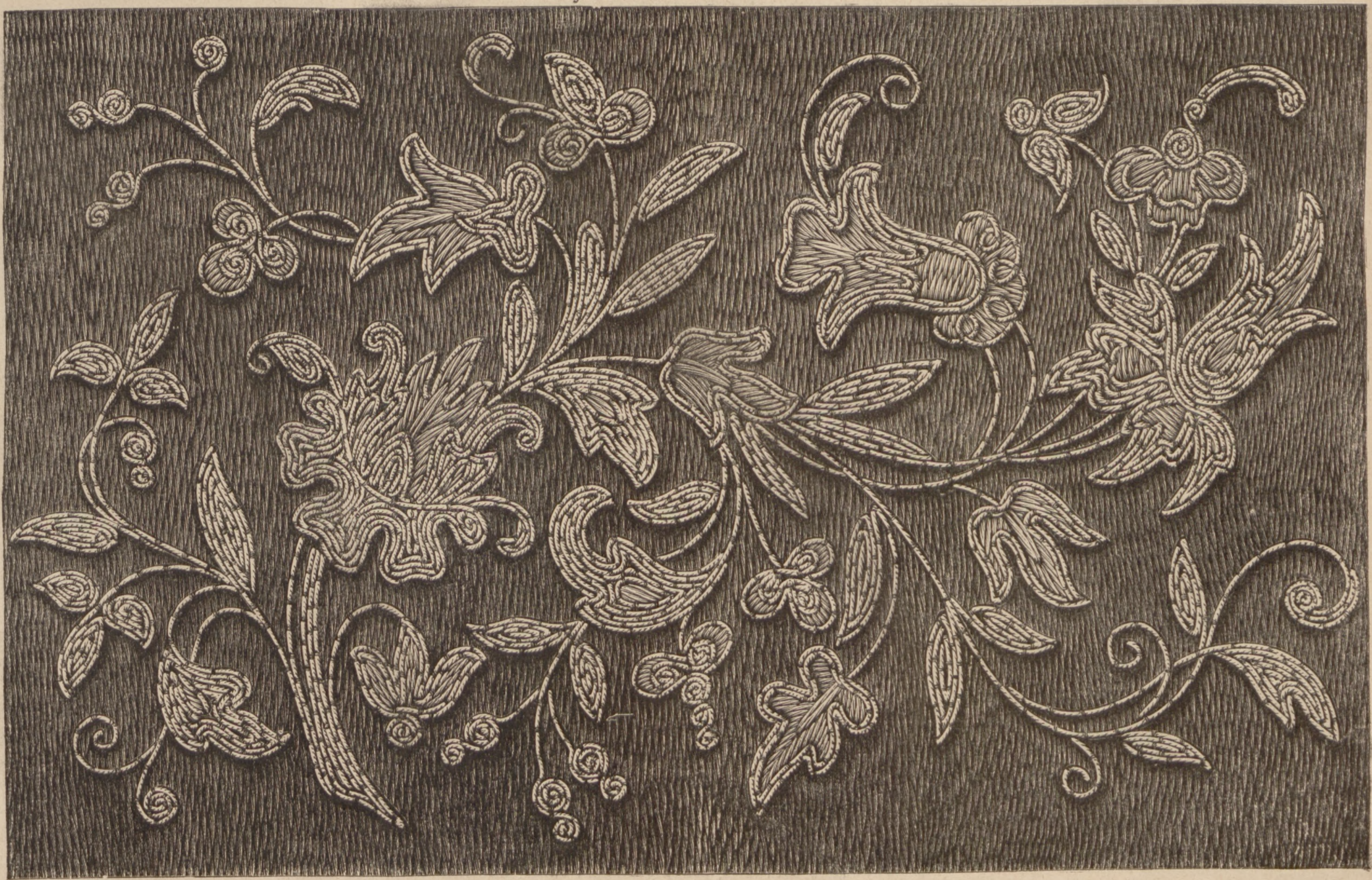
N. 22. Poduszeczka do szpilek. Haft złotem i jedwabiem i szydełkowa. Zobaczyć ryc. 15. i deseń ryc. 23.



N. 20. Spódnica do sukni, do ryc. 16 w N. 34. Model kroju na ryc. 4.



N. 21. Model kroju draperyi do ryc. 1 i 16.



Deseń na poduszkę do szpilek; wielkość naturalna.
N. 23. Haft złoty, tło zahaftowane ściegiem długim sznureczkowym, pelą bordo, na grubem płótnie.

objętości, zrobiony był z kawałka 34 c. szerokiego, a 31 długiego. Spódniczka 160 c. szeroka a 17 c. długa, w górze zakończona nagłówkiem 2 c. szerokim, u dołu ozdobiona dwoma wązkiemi zakładkami i szlaczkiem haftowanym,



N. 26. Sukienka princesse z plastronem, dla małej dziewczynki. Zobaczyć plecy z dodaną bluzką na ryc. 18.



N. 24. Sukienka pod szyję dla małego chłopczyka. Zobaczyć plecy na r. 19.

N. 25. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki.



N. 27. Sukienka z kamizelką dla małej panienki.

przyszyta jest do brzegu stanika. Także szlaczki 3 cent. szerokie, stanowią bretelkowy garnirunek stanika i przyszyte są do rękawków $2^1/_2$ cent. długich. Dwie sute rozety zrobione z 1 cent. szerokie wstążki ottoman, koloru ognisto czerwonego.

N. 27. Sukienka formą princesse z kamizelką; dla małej panienki.



N. 29. Ubranie z pelerynką koronkową. Model kroju pelerynki ryc. 46 w N. 34.



N. 28. Suknia z kaftaniczkowym stanikiem.

Sukienka której model był z kaszmiru niebiesko popielatego, może także być zrobiona z materyałów do prania. Przody otwarte i dół sukienki naszyte były w sposób wskazany na r. 27, sutaszem ponsowym; z przodu dodany był bryt gładki z boku na kryte haftki zapinany. Biała pikowa kamizelka może być zapinana z przodu albo z boku, w ostatnim razie przyszywa się jednak płaskie guziki na środku.

N. 28. Suknia z kaftaniczkowym stanikiem.

Kaftaniczek przeznaczony do spódnicy czarnej jedwabnej, odrobiony był z kaszmiru kremowego i z takiegoż koronkowego materyału. Powabne przybranie stanowią kokardy z 3 cent. szerokiej, różowej wstążki faille; baskina stopniowo dużo podcięta do tyłu, przecinana jest w koło w patki, a przecięcia zdobią kokardy stopniowanej długości. Na dopełniającym otwarte przody, plastronie fałdowanym koronkowym, u dołu spuszczonym w bufę i ogarnirowanym koronką, przewinięta jest lekko dwa razy wstążka zastępująca patki. Wysoki stojący kołnierzyk zapięty kokardą. Między wewnętrzne szwy pół długich rękawów wpuszczone bufy z koronki; w górę odwrócone mankiety koronkowe.

(*D. n.*)



N. 30. Suknia ze stanikiem bluzkowym.